

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 180.

# Cinq = Mars

ALBO

SPRZYSIĘŻENIE ZA LUDWIKA XIII

Hrabiego ALFREDA de VIGNY

PRZEŁOŻYL WITOLD ŁASZCZYŃSKI.

—  
TOM III.  
—

Cena 40 kop.

W pren. 30<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—  
1901.

**CINQ - MARS**

albo

**SPRZYSIĘZENIE ZA LUDWIKA XIII.**

Wyp. 02



66728 / 3



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0255701

k-168 / 76 / 71531 P

Hrabia ALFRED de VIGNY.  
Ozłonek Akademii Francuskiej.



# CINQ - MARS

albo

## SPRZYSIĘZENIE ZA LUDWIKA XIII

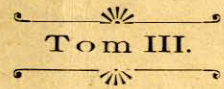
Król był, mileząc, głową tego spisku. Wielki koniuszy Cinq-Mars był jego duszą; użyto do niego imienia księcia Orleańskiego, jedyne go brata króla, a radcą był książę de Bouillon. Królowa wiedziała o zamachu i o imionach spiskowców...

**Pamiętniki Anny Austryackiej**  
przez Panią de Motteville.

Kogoż więc tu oszukują?

PRZEŁOŻYŁ

*Witold Łaszczyński.*



Tom III.



WARSZAWA.  
DRUKARNIA  
**A. T. Jezierskiego**  
47. Nowy-Swiat 47.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 9 Апрелья 1901 г.



65180/3

K-168/76 / 71531

## ROZDZIAŁ XX.

## CZYTANIE.

Okoliczności odstaniają, że się tak wyrazimy, królewską władzę geniuszu, ostatnie źródło wygasłych narodów. Wielcy pisarze... ci królowie, nie mający tej nazwy, ale panujący prawdziwie przez siłę charakteru i wielkość myśli, są wybrani przez wypadki, którym mają przewodzić. Bez przodków i potomstwa, sami ze swojej rasy, dopełniwszy swego postannictwa, znikają, zostawiając przyszłości rozkazy, które ta wypelni wiernie.

*F. de Lamennais.*

Wkrótce potem, pewnego wieczoru, na rogu placu Królewskiego, w pobliżu dość ładnego domku widzianno, jak zatrzymywało się wiele karet i otwierała często furtka, gdzie wchodzono po trzech kamiennych stopniach. Sąsiedzi stawali wielokrotnie w swych oknach, skarżąc się na hałas, sprawiany jeszcze o tak późnej godzinie, mimo obawy przed złodziejami, a strażnicy dziwili się i zatrzymywali, nie odchodząc, aż zobaczyli za każdym pojazdem dziesięciu lub dwunastu pieszych służących, uzbrojonych w kije i niosą-

cych pochodnie. Młody szlachcic, mający za sobą trzech lokaj, wszedł, zapytując o pannę de Lorme; niósł on długi rapier, ozdobiony różowymi wstążkami; ogromne fontazie tej samej barwy na trzewikach z wysokimi obcasami zakrywały prawie zupełnie jego nogi, które wysoko zadzierał według mody. Zakryczał często fryzowanego wąsika i zanim wszedł, przyczesał swoją lekką i śpiczastą brodę. Kiedy go zameldowano, powstał krzyk jednogłośny.

— Otóż i on nareszcie! — ozwał się głos młody i krzykliwy — ten luby Desbarreaux każe długo na siebie czekać. Dalej, oto krzesło, siadaj przy stole i czytaj.

Ta, co mówiła, była kobietą lat około dwudziestu czterech, wysoka, piękna, mimo włosów czarnych bardzo kędzierzawych i oliwkowej cery. Miała w obejściu coś męskiego, co zdawało się jej udzielać od otoczenia, złożonego wyłącznie z mężczyzn; brała ich za ręce dość porywczo, mówiąc ze swobodą, której im udzielała. Jej mowa była raczej ożywiona, niż krotofilna; często wywoływała dokoła niej śmiechy, ale tylko dowcipem nadrabiała wesołość, jeśli można się tak wyrazić; gdyż jej oblicze, aczkolwiek namiętne, zdawało się niezdolne złożyć usta do uśmiechu; a wielkie i niebieskie oczy pod czarnymi jak węgiel włosami nadawały jej zrazu wygląd niezwykły.

Desbarreaux pocałował ją w rękę z miną zalotną i zuchwałą; potem przeszedł z nią, rozmawiając ciągle, naokoło dosyć dużego salonu, gdzie było zebranych blisko trzydzieści osób: jedni siedzieli w wielkich fotelach, drudzy stali pod sklepieniem niezmiernego kominka, inni rozmawiali w zagłębieniach okien, pod szerokimi kotarami. Jedni byli to ludzie nieznani, bardzo sławni teraz; drudzy ludzie sławni, zupełnie nieznani dla nas, potomnych. Tak więc pomiędzy tymi ostatnimi witał głębokim ukłonem pp-

d'Aubijoux, de Brion, de Montmort i inne szlachetnie urodzone znakomitości, co się tam znajdowały, aby sądzić; uściskał czule i z szacunkiem ręce pp. de Monteruel, de Sirmond, de Maleville, Baro, Gombauld i innych uczonych, prawie wszystkich nazywanych wielkimi ludźmi w rocznikach Akademii, której byli założycielami, i nazywanej wtedy bądź Akademią pięknych umysłów, bądź Prześwietną Akademią. Lecz imépan Desbarreaux kiwnął zaledwie protekcyjonalnie głową młodemu Corneille'owi, co rozmawiał w kącie z jednym cudzoziemcem i jednym młodzieńcem, którego przedstawił pani domu pod nazwiskiem imcipana Poquelina, syna kamerdynera - tapicera króla jego mości. Jednym był Milton <sup>1)</sup>, a drugim Molière.

Przed oczekiwaniem czytaniem młodego sybaryty powstał wielki spór między nim a innymi poetami, czy prozaikami owego czasu; mówili między sobą z wielką łatwością, wymieniając żywe odpowiedzi, w języku niezrozumiałym dla uczciwego człowieka, gdyby ten nagle wpadł pomiędzy nich, nie będąc wtajemniczonym; ściskali sobie gorąco ręce z czułymi powinszowaniami i niezliczonymi aluzjami do swych utworów.

— Ah! więc jesteś, sławny Baro! — zawołał nowoprzybyły — czytałem twój ostatni sześciowiersz. Ah! co za sześciowiersz! jak on jest posunięty w zalotności i czułości!..

— Co waćpan mówisz o Czulem? — przerwała Marion de Lorme. — Czy znałeś kiedy ten kraj? Zatrzymałeś się przy wiosce Wielkiego-Umysłu i Ładnych-Wierszy, lecz nie byłeś dalej. Jeśli imépan gubernator Opieki Najświętszej Maryi Panny zechce nam

<sup>1)</sup> Milton był tegoż samego roku w Paryżu, wracając z Włoch do Anglii. (Czytaj: *Teland's lise of Milton*).

pokazać swoją nową kartę, powiem waćpanu, gdzie jesteś.

Scudéry podniósł się z miną chełpliwą i pedancką i rozwinąwszy na stole rodzaj karty jeograficznej, ozdobionej niebieskimi wstążkami, sam wskazał linie, nakreślone tam przez siebie różowym atramentem.

— Oto najpiękniejsza część „Klelii” — powiedział — znajdując powszechnie tę kartę nader piękną, lecz jest to tylko zwykłe rozweselenie umysłu, aby mieć upodobanie w naszej małej kabale literackiej. Jednakże, ponieważ bywają dziwne osoby na świecie, obawiam się, czy wszyscy ci, co ją zobaczą, będą posiadali umysł dostatecznie ukształcony, aby ją zrozumieć. To jest droga, jakiej trzeba się trzymać, aby dojść z Nowej-Przyjaźni do Czulego; i zauważcie, mości panowie, że jak mówią: Cumes nad morzem Jońskim, Cumes nad morzem Tyrreńskim, tak będą mówili: Czule nad Skłonnością, Czule nad Szacunkiem i Czule-nad-Wdzięcznością. Trzeba będzie zaczynać od zamieszkania wiosek Wielkiego-Serca, Szlachetności, Dokładności, Bileciku-Zalotnego, potem Bileciku Miłosnego...

— Oh! to szczyt twórczego dowcipu! — wołali Vaugelas, Colletet i wszyscy inni.

— I zauważcie — ciągnął twórca, nadęty tem powodzeniem — że trzeba przejść przez Uprzejmość i Tkliwość, i że jeśli nie pójdzie się tą drogą, jest się narażonym na zabłądzenie w lesie Oziębłości, Zapomnienia i wpada się do jeziora Obojętności.

— Wyborne! wyborne! świetne do doskonałości! — wołali wszyscy słuchacze. — Trudno o większą genialność!

— A więc, pani—mówił dalej Scudéry—oświadczam tutaj: to dzieło, drukowane pod mojem nazwiskiem, jest dziełem mojej siostry; to ona tłumaczyła

„Saphone” w sposób tak przyjemny. I nie będąc o to proszony, wypowiedział przysadnym głosem urywek, zakończony następującym czterowierszem:

Miłość to choroba miła <sup>1)</sup>,  
Co się w sercu nie przesili;  
Choćby uleczalna była,  
Umrzeć od niej przecie milej.

— Co! ta Greczynka miała tyle dowcipu? — zawołała Marion de Lormé — o ileż wyższą była od niej panna de Scudéry! Ta myśl należy do niej; niech umieści w „Klelii” te śliczne wiersze, proszę waćpana o to; jak to będzie dobrze wyglądało w tej rzymskiej powieści!

— Cudownie! to doskonale—oświadczyli wszyscy uczeni — Horacyusz, Aruncyusz i miły Porsenna są tak zalotnymi kochankami!

Wszyscy oni byli nachyleni nad kartą Czulego, a ich palce krzyżowały się i potraçały, śledząc wszystkie zakręty rzek miłosnych. Młody Poquelin ośmielił się podnieść swój bojaźliwy głos i melancholijny wzrok, i powiedział:

— Do czego to służy? czy dla dania szczęścia, czy przyjemności? Waćpan nie zdaje mi się bardzo szczęśliwy, ja zaś nie czuję się bardzo wesół.

Na co otrzymał w odpowiedzi tylko pogardliwe spojrzenia i pocieszył się, obmyślając Śmieszne wybrednisie.

Desbarreaux gotował się do czytania czulego sonetu, napisanego, jak sam o tem głosił, podczas jego choroby; zdawał się zawstydzony, że pomyślał na chwilę o Bogu na widok pioruna i zarumienił się z powodu tej słabości; pani domu zatrzymała go przecież:

<sup>1)</sup> Czytaj „Klelię”, t. I.

— Nie czas jeszcze na czytanie twoich pięknych wierszy, przerywanoby waćpanu: spodziewamy się im-cipana wielkiego koniuszego i innych dostojników; by łoby morderstwem pozwolić, aby tak wielki umysł przemawiał w tym hałasie i zamieszaniu. Lecz jest tu młody Anglik, który podróżował niedawno po Włoszech i wraca do Londynu. Mówiono mi, że tworzy poemat, nie wiem jaki; ma powiedzieć nam z niego kilka wierszy. Wielu z panów, należących do Prześwietnego Towarzystwa, umie po angielsku; a dla innych kazał przetłómaczyć przez dawnego sekretarza księcia Buckinghama ustępy, które będzie nam czytał; oto zaś francuskie ich kopie.

To mówiąc, wzięła je ze stołu i rozdała wszystkim uczonym. Zajęto miejsca i nastąpiła cisza. Trzeba było trochę czasu, aby nakłonić młodego cudzoziemca do przemówienia i wyjścia z zagłębienia okna, gdzie zdawał się doskonale porozumiewać z Corneille'm. Zbliżył się w końcu do fotelu, umieszczonego przy stole; wyglądał na człowieka słabego zdrowia, i raczej upadł na to siedzenie, niż usiadł. Oparł łokieć na stole i zasłonił ręką swoje oczy, wielkie i piękne, lecz nawpół zamknięte i zaczerwienione od łoż czy bezsennych nocy. Wypowiadał swoje wyjątki z pamięci; jego słuchacze podejrzliwi spoglądali nań wyniosłe, a przynajmniej protekcyjnalnie; inni przeglądali niedbale przekład jego wierszy.

Głos młodzieńca, zrazu przytłumiony, oczyścił się w samym toku jego harmonijnej opowieści; powiew natchnienia poetyckiego uniósł go wkrótce po za niego samego, a jego wzrok, zwrócony ku niebu, stał się wzniosłym, jak wzrok młodego ewangelisty, pędzła Rafaela, bo światło jeszcze się w nim odbijało. Zwiastował on w swoich wierszach pierwsze nieposłuszeństwo człowieka i wezwał Ducha Świętego, który przekłada nad wszelkie świątynie serce proste

i czyste, który wie o wszystkim i który był obecny przy narodzinach Czasu.

Głębokie milezenie przyjęło ten początek, a lekki szmer podniósł się po wypowiedzeniu ostatniej myśli. Słyszał, widział tylko jak przez mgłę, był w świetle swojej twórczości; ciągnął dalej.

Mówił, że duch piekielny jest przywiązany w ogniu-mścicielu na łańcuchach dyamentowych; że Czas dzieli dziewięć razy dzień i noc dla śmiertelnych podczas swego sehyłku; że ciemność więzień wiecznych jest widzialna, a ocean, gdzie pływają upadli aniołowie, ognisty; grzmiący głos jego zaczął przemowę książećcia złych duchów: „Czy jesteś, mówił on, czy jesteś tym, którego ogarniała olśniewająca światłość w szczęsnych królestwach dnia? Oh! jakże upadłeś!... Pójdź ze mną... I cóż znaczy to pole naszych walk niebieskich? czyż wszystko stracone? Niezłomna wola, niezmienna myśl zemsty, śmiertelna nienawiść, nieustraszona nigdy odwaga, zachować to wszystko, czyż to nie zwycięstwo?”

Tu lokaj oznajmił donośnym głosem pp. de Montresor i d'Evtraigues. Ukłonili się, porozmawiali, poruszyli z miejsca fotele i usadowili się w końcu. Słuchacze skorzystali z tego, aby wszcząć dziesięć osobnych rozmów; słyszano tam tylko słowa nagany i zarzutów złego smaku; kilku ludzi dowcipnych i pewnych siebie wołało, że nie rozumie, że to jest ponad ich pojęcie, nie domyślając się, że mówiło prawdę, i przez tę fałszywą pokorę ściągnęło dla siebie powinszowanie, a dla poety obelgę: podwójną korzyść. Kilka głosów wymówiło nawet słowo: profanacya.

Poeta, któremu przerwano, włożył głowę w swoje obie dłonie i oparł się łokciami na stole, aby nie słyszeć tej całej wrzawy grzeczności i krytyk. Tylko trzech ludzi zbliżyło się do niego: byli to jeden ofi-

cer, Poquelin, i Corneille; ten rzekł Miltonowi do ucha:

— Radzę ci, zmień obraz; twoi słuchacze nie dorównują mu.

Oficer uściśnął rękę angielskiego poety i rzekł do niego:

— Uwielbiam waćpana całą potęgą mojej duszy! Anglik, zdziwiony, spojrział na niego i ujrzał twarz myślącą, namiętną i chorą.

Dał mu znak głową i usiłował skupić ducha, aby ciągnąć dalej. Głos jego przybrał wyraz nader miły dla ucha i spokojny; mówił o czystem szczęściu dwojga najpiękniejszych stworzeń; odmalował wspa- niałą ich nagość, prostotę ducha i władzę ich wzroku, potem chodzenie ich pośród tygrysów i lwów, co sobie igrały jeszcze u ich nóg; mówił także o czystości porannej ich modlitwy, o czarujących ich uśmiechach, o swawolnem zaniedbaniu ich młodości i miłości ich rozmów, tak bolesnych dla księżęcia złych duchów.

Słodkie łzy płynęły mimowolnie z oczu pięknej Marion de Lorme: natura porwała jej serce, pomimo jej umysłu; poezya napełniła ją poważnemi i pobożnemi myślami, od których upojenie przyjemności zawsze ją odwracało, pojęcie miłości w cnocie ukazało się jej po raz pierwszy z całą swoją pięknnością i była jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, i przemieniona w błady i piękny posąg.

Corneille, młody jego przyjaciel i oficer byli pełni cichego uwielbienia, lecz nie śmieli go wyrazić, gdyż dosyć podniesione głosy zagłuszyły głos zdziwionego poety.

— Nie sposób wytrzymać—wołał Desbarreaux— to ekliwe, aż mdło na sercu!

— A jaki brak wdzięku, zalotności i pięknego płomienia—mówił chłodno Scudéry.

— To nie nasz nieśmiertelny d'Urfé — mówił kontynuator Baro.

— Gdzież Aryana? Gdzież Astrea? — wykrzykiwał, utyskując, Godeau, autor „Uwag.”

Całe zgromadzenie oburzało się w ten sposób, z grzeczności uwagami, ale czynionemi tak, aby nie były słyszane przez poetę zbyt wyraźnie; zrozumiął jednak, że nie wywołał zapału i zebrał myśli, zanim poruszył inną strunę swojej liry.

W tejże chwili zameldowano radeę de Thou, który kłaniając się skromnie, wślizgnął się w milczeniu i stanął około Corneille'a, Poquelina i młodego oficera. Milton zaczął znów swoje pieśni.

Opowiedział o przybyciu gościa niebieskiego do ogrodów Edeńskich, niby drugiej zorzy pośród dnia; potrząsając piórami swoich boskich skrzydeł, napełniał on powietrze niewysłowionym zapachem i odsłonił człowiekowi dzieje niebios; bunt Lucyfera, odzianego w dyamentową zbroję, postawionego na wozie jaśniejącym jak słońce, strzeżonego przez iskrzących cherubinów i idącego przeciw Przedwiecznemu. Lecz Emmanuel zjawia się na żyjącym wozie Pana, a dwa tysiące piorunów strąca do piekła ze straszliwym łoskotem przekłętę wojsko, zagrzebane pod niezmiernymi gruzami zburzonego nieba.

Tym razem powstano z miejsc i wszystko się urwało, gdyż względy religijne złączyły się z fałszywym smakiem; słyhać było tylko nieprzychylnie wykrzykniki, co zmusiło panią domu podnieść się także, aby je ukryć przed autorem.

Na szczęście, był on całkiem zajęty wzniosłością swoich myśli; geniusz jego nie miał już nic wspólnego z ziemią w tej chwili; a gdy otworzył znów swoje oczy, zobaczył przy sobie czterech wielbicieli, których głos dawał się słyszeć lepiej niż zgromadzenia.

Corneille rzekł jednak do niego:



— Posłuchaj mnie. Jeśli pragniesz sławy teraz, nie spodziewaj się jej z tak pięknego dzieła. Czystą poezję odczuwają tylko dusze wybrane; dla pospolitych ludzi trzeba, ażeby się łączyła ze sprawą prawie materialną dramatu. Miałem wielką chęć zrobić poemat z Polyucta; ale przekroję ten przedmiot: wyrzucę niebo i będzie z tego tylko tragedia.

— Co mnie obchodzi sława dnia dzisiejszego— odpowiedział Milton;—nie myślę wcale o powodzeniu; śpiewam, gdyż czuję, że jestem poetą; idę, dokąd pociąga mnie natchnienie; co ono stworzy, jest zawsze dobre. Chociażby miało czytać te wiersze dopiero w sto lat po mojej śmierci, napisałbym je zawsze.

— Ach! co do mnie, podziwiam je, choć nie znam ich jeszcze w całości—rzekł młody ofier;—widzę w nich Boga, którego obraz noszę w sercu od urodzenia.

— Któż więc mówi do mnie w sposób tak uprzejmy?—zapytał poeta.

— Jestem René Descartes <sup>1)</sup> — odparł łagodnie wojskowy.

— Co, waćpan — zawołał de Thou—byłżebyś szczęśliwym krewnym autora „Zasad”?

— Jestem ich autorem—odpowiedział.

— Waćpan!... ależ... jednakże... proszę mi dać... ale... czyż waćpan nie jest wojskowym? — rzekł radca pełen zdziwienia.

— Ech! mospanie, cóż ma wspólnego myśl z ubraniem ciała? Tak, noszę szpadę i byłem przy obłożeniu Roszelli; lubię stan wojskowy, gdyż utrzymuje duszę w krainie szlachetnych pojęć przez nieustanne uczucie poświęcenia życia; nie zajmuje on jednakże całego człowieka; nie można mu oddawać swo-

<sup>1)</sup> Kartezjusz, autor „Zasad” (przyp. tłómacza).

ich myśli nieustannie, pokój je usypia. Należy się zresztą obawiać, aby ich nie przerwał jakiś cios nieznanego, albo niewczesny i śmieszny wypadek; a jeśli człowiek zostanie zabity pośród wykonywania swojego zamiaru, potomność zachowa o nim pojęcie, że go nie posiadał wcale, lub powziął niedobry, a to przynosi do rozpacz.

De Thou uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc tę prostą mowę człowieka wyższego, którą lubił najbardziej po mowie serca; uściśnął rękę młodego mędrca Turenii i uprowadził go do sąsiedniego gabinetu z Corneillem'm, Miltonem i Molière'm i tam wiedli jedną z tych rozmów, co każą uważać za stracony czas, który je poprzedzał, i czas, który ma po nich nastąpić.

Już od dwóch godzin zachwycali się swoją rozmową, gdy odgłos muzyki, gitar i fletów (grywano na nich menuety, sarabandy, walece i tańce hiszpańskie, wprowadzone w modę przez młodą królową), ciągnęły napływ grona młodych kobiet, oraz ich wybuchy śmiechu — wszystko zapowiadało, że bal się zaczynał.

Młodziutka i piękna osoba, trzymając wielki wachlarz jak berło i otoczona przez dziesięciu młodzieńców, weszła do samotnego saloniku naszej czwórki ze swym świetnym dworem, który prowadziła, jak królowa, i zmusiła do ucieczki uczonych gadułów.

— Żegnajcie, mości panowie—rzekł de Thou—ustępuję miejsca pannie de Lenelos i jej muszkieterom.

— Doprawdy, mości panowie — zawołała młoda Ninon — czyż sprawiamy wam przestrah? czyż wam przeszkodziłam? macie miny spiskowców?

— My jesteśmy nimi bardziej może, niż ci mości panowie, chociaż tańczymy — odrzekł młody Olivier d'Entraigues, podając jej rękę.

— Och! twój spisek jest zwrócony przeciwko mnie, mości panie — odparła Ninon, przyglądając się innemu szwoleżerowi i oddając trzeciemu rękę pozostałą, gdy inni starali się umieścić na drodze błakających się jej spojrzeń, gdyż wodziła po nich swymi jaśniejącymi oczyma niby lekkim płomieniem, jaki widzimy na końcu zapalanych przezeń z kolei pochodni.

De Thou wymknął się, chociaż nikt nie myślał go zatrzymać, i schodził po wielkich schodach, gdy ujrzał na nich wchodzącego małego księdza de Gondi, zaczerwienionego, spoconego i zadyszanego, który zatrzymał go nagle z miną wesołą i ożywioną.

— I cóż, i cóż! dokądże idziesz? pozwól iść obcym i uczonym, ty należysz do mnie. Przybywam nieco późno, lecz nasza piękna Aspazyja mi przebaczy. Dlaczegoż więc odchodzisz? czyż wszystko skończone?

— Tak mi się zdaje; ponieważ tańcza, czytanie skończone.

— Czytanie, tak; ale przysięgi? — rzekł pocichu ksiądz.

— Jakie przysięgi? — zapytał de Thou.

— Czyż imć pan le Grand nie przyszedł?

— Spodziewałem się go zobaczyć; lecz zdaje mi się, że nie przyszedł, albo że odjechał.

— Nie, nie, chodź ze mną — rzekł roztrzęsaniec — należysz do nas, do kroćset! Niemożliwe, abyś do nas nie należał, chodź!

De Thou nie śmiał nigdy odmówić, aby nie pomyślano, że zapiera się swoich przyjaciół, nawet gdy chodziło o wycieczki dla przyjemności, nie sprawiające mu wcale przyjemności; poszedł więc za nim, otworzył dwa gabinety i zeszedł po małych ukrytych schodach. Za każdym uczynionym krokiem słyszał coraz wyraźniej głosy zebranych osób.

Gondi otworzył drzwi. Niespodziewany widok przedstawił się ich oczom.

Komnata, do której weszli, oświetlona tajemniczo, zdawała się schronieniem najrozkoszniejszych schadzek; z jednej strony stało łóżko złoczone pod baldachimem z kobierców, przybranych piórami, pokrytym koronkami i ozdobami; wszystkie meble, rzeźbione i złoczone, były z szarawego jedwabiu, bogato haftowanego; przed każdym fotelem leżały na grubym kobiercu aksamitne poduszki. Małe zwierciadła, spojone ze sobą srebrnymi ozdobami, tworzyły niby jedno całe (wielkich zwierciadeł wówczas jeszcze nie znano) i pomnażały wszędzie iskrzące swoje ścianki. Żaden hałas z zewnątrz nie mógł się dostać do tego miejsca rozkoszy; lecz zgromadzone tu osoby zdawały się bardzo dalekie od myśli, jakie im to mogło nasunąć. Tłum mężczyzn, w których poznał dostojników dworskich lub wojskowych, cisnął się u wejścia do tej komnaty i rozechodził w sąsiedniej, jakby obszerniejszej; de Thou i Gondi, przyglądając się bacznie, pochłaniali oczami widowisko, jakie przedstawiał pierwszy salon.

Tu dziesięciu młodzieńców, trzymając w rękę obnażone szpady, zniżone ostrym końcem ku ziemi, stało rzędem wokoło stołu; ich twarze, zwrócone w stronę Cinq-Marsa, świadczyły, że przed chwilą złożyli mu przysięgę; wielki koniuszy był sam, przed kominikiem, ze złożonymi na krzyż rękoma i z miną głęboko oddanego swym rozmyślaniom. Stojąc koło niego Marion de Lorme, poważna, w skupieniu ducha, zdawała się, jakby przed chwilą przedstawiła mu tych młodzieńców.

Jak tylko Cinq-Mars zobaczył swego przyjaciela, rzucił się ku drzwiom, które ten otwierał, spojrzawszy z piorunującym wzrokiem na Gondiego, i pochwycił de



Thou za obie ręce, zatrzymując go na ostatnim stopniu:

— Czego tu chcesz? — rzekł do niego przytłumionym głosem — kto cię tu przyprowadził? czego chcesz odemnie? jeśli wejdiesz, będziesz zgubiony.

— Co ty sam robisz? co widzisz w tym domu?

— Następstwa tego, co wiesz; mówię ci, cofnij się, to powietrze jest zatrute przez tych, co się tu znajdują.

— Już nie czas, widziano mnie; cóżby powiedziano, gdybym się cofnął? odjąłbym im odwagę, byłbyś zgubiony.

Cała ta rozmowa została przeprowadzona półgłosem i śpiesznie; przy ostatnim słowie de Thou, popychając swego przyjaciela, wszedł i pewnym krokiem przeszedł przez komnatę, aby stanąć przy kominku.

Cinq-Mars, głęboko dotknięty, wrócił na swoje miejsce, schylił głowę, zebrał myśli, i wkrótce ze spokojniejszym znacznie obliczem przemawiał dalej, po przerwie, spowodowanej wejściem przyjaciela:

— Bądźcie więc naszymi, mościpanowie; ale nie trzeba już tylu tajemnic; pamiętajcie, że gdy człowiek z tęgim charakterem jaką myśl powźmie, nie powinien zważać na żadne jej następstwa. Pole waszej odwagi będzie obszerniejsze, niż intrygi dworskiej. Podziękujcie mi: wzamian sprzysiężenia, daję wam wojnę. Imópan de Bouillon pojechał, aby stanąć na czele swojej armii włoskiej; za dwa dni, uprzedzając króla, opuścę Paryż, aby się udać do Perpignanu; przybądźcie tam wszyscy, rojaliści z armii czekają na nas.

Tu rzucił dokoła siebie spokojne i pełne ufności spojrzenie; widział błyski radości i zapału we wszystkich oczach tych, co go otaczali. Zanim pozwolił ovladnąć swoje własne serce przez zaraźliwe

wzruszenie, poprzedzające wielkie przedsięwzięcia, chciał jeszcze względem nich się zapewnić i powtórzył poważnym tonem:

— Tak, wojnę, mościpanowie, pomyślcie o tem, wojnę otwartą. Roszella i Navarra przygotowują się do wielkiego przebudzenia swoich wyznawców, armia włoska wejdzie z jednej strony, brat króla przyłączy się do nas z drugiej: wtedy on zostanie otoczony, zwyciężony, powalony. Parlamenty pójdą jako nasza tylna straż ze swoją pokorną prośbą do króla, a jest to broń tak silna, jak nasze szpady; a po zwycięstwie rzucimy się do stóp Ludwika XIII, naszego pana, aby udarował nas łaską i przebaczył, żeśmy go uwolnili od krwiożerego zuchwalca i przyspieszyli jego postanowienie.

Tu, spoglądając dokoła, widział jeszcze wrażliwe zapewnienie w spojrzeniach i zachowaniu swoich współpracowników.

— Co! — mówił dalej, krzyżując ręce i wstrzymując jeszcze z trudnością swoje własne wzruszenie — nie cofacie się przed postanowieniem, które zdawałoby się buntem dla wszystkich innych? Czy nie myślicie, że nadużyłem władzy przez was mi nadanej? Posunąłem rzeczy daleko; lecz bywają czasy, że królowie chcą, aby im służono wbrew ich woli. Wszystko zostało przewidziane, jak wiecie. Sedan otworzy nam bramy i pewni jesteśmy Hiszpanii.

Dwanaście tysięcy starego żołnierza wejdzie z nami do Paryża. Żadne miejsce jednak nie będzie wydane cudzoziemcowi; wszystkie one otrzymają załogę francuską i będą wzięte w imieniu króla.

— Niech żyje król! niech żyje zjednoczenie! nowe zjednoczenie, święta liga! — zawołała cała zgromadzona młodzież.

— Oto nadszedł — zawołał Cinq-Mars z zapałem — oto nadszedł najpiękniejszy dzień mojego życia!

O młodości, młodości, zawsze nazywana nieprzewidującą i lekkomyślną z wieku na wiek! o cóż oskarżają cię dziś? Pod dwudziestoletnim wodzem powstał, dojrzał i będzie wykonany najobszerniejszy, najsprawiedliwszy, najzbawienniejszy z zamachów. Przyjaciele, czemuż jest wielkie życie, jeśli nie myślą młodości, wykonaną przez wiek dojrzały? Młodość orlim swoim wzrokiem patrzy stale w przyszłość, kreśli w niej plan szeroki, zakłada w niej kamień węgielny; a wszystko, czego może dokonać całe nasze istnienie, polega na zbliżeniu się do tego pierwszego celu. Ah! kiedyż mogły powstać wielkie zamiary, jeśli nie wtedy, gdy serce uderza silnie w piersiach? Sam rozum nie wystarczyłby dla nich, on tylko narzędziem.

Nowy wybuch radości nastąpił po tych słowach, gdy starzec z białą brodą wystąpił z tłumu.

— Masz—rzekł Gondi półgłosem—oto stary rycearz de Guise zacznie pleść trzy po trzy i ostudzać nasz zapal.

Wistocie, starzec, ściskając rękę Cinq-Marsa, powiedział wolno i z trudnością, usiadłszy przy nim:

— Tak, moje dziecko, i wy, moje dzieci, widzę z radością, że stary mój przyjaciel Bassompierre zostanie przez was uwolniony, i że pomścicie hrabiego de Soissons i młodego Montmorency... Lecz przystoi młodzieży, pomimo jej zapalu, posłuchać tych, co dużo widzieli. Widziałem ja ligę, moje dzieci, i powiadam wam, że nie będziecie mogli wziąć tym razem, jak wówczas uczyniono, nazwy świętej ligi, świętego zjednoczenia, orędowników świętego Piotra i filarów Kościoła, bo widzę, że liczyacie na poparcie hugonotów; nie będziecie mogli również umieścić na wielkiej swojej pieczęci z zielonego wosku próżnego tronu, gdyż jest zajęty przez króla.

— Możesz waszmość powiedzieć przez dwóch królów—przerwał, śmiejąc się, Gondi.

— Ma przecież wielkie znaczenie—ciągnął stary Gwizyusz pośród zgietku całej tej młodzieży—ma przecież wielkie znaczenie przybranie imienia, do jakiego lud się przywiązuje; nazwa wojny dobra publicznego była niegdyś wzięta, książąt pokoju niedawno; trzeba by znaleźć jakąś...

— A więc, wojna królewska — rzekł Cinq-Mars...

— Tak, właśnie! wojna królewska — powiedzieli Gondi i cała młodzież.

— Ale — odparł jeszcze stary związkowiec—byłoby także koniecznem zyskać uznanie wydziału teologicznego Sorbony, który wydał niegdyś moc prawa nawet haut-gourdierom i sorgueurom<sup>1)</sup>, i wprowadzić w wykonanie drugi jego wniosek: że wolno ludowi nie słuchać i wieszać urzędników.

— Hej! kawalerze—zawołał Gondi—nie chodzi już o to; pozwól mówić imcipanu le Grand; nie myślimy teraz o Sorbonnie więcej, niż o waszym świętym Jakóbie Clément.

Roześmiano się, a Cinq-Mars mówił dalej:

— Chciałem, mościpanowie, nie ukrywać nie przed wami z zamiarów brata królewskiego, z zamiarów księcia de Bouillon i moich, bo słuszna rzecz, aby człowiek, co stawia życie, wiedział, na jaką kartę; ale przedstawiłem waszym oczom korzyści najnieszczęśliwsze, a nie wyszczególniłem wam naszych sił, gdyż niema z was ani jednego, coby nie znał ich tajemnicy. Czyż to wam, mościpanowie de Montrésor i de Saint-Thibal, udzielię wiadomości o bogactwach, jakie brat królewski oddał do naszego rozporządze-

<sup>1)</sup> Nazwy związkowych.

nia? Czyż to wam, mości d'Aignan, mości de Mouy, będę mówił, ile młodej szlachty chciało się przyłączyć do waszych kompanij piechoty i szwoleżerów, aby walczyć z kardynałami? ile w Turenii i Oweronii, gdzie są posiadłości domu d'Effiat, i z kąd wystąpi dwa tysiące magnatów ze swymi lennikami? Baronie de Beauvau, czyż każę ci powtarzać o gorliwości i waleczności kirysników, danych przez ciebie niezszczęsnemu hrabiemu na Soissons? Jego sprawa była naszą sprawą... Niestety! został zamordowany pośród swego tryumfu przez tego, którego z tobą zwyciężył. Czyż będę mówił waćpanom o radości hrabiego-księcia <sup>1)</sup> na wiadomość o naszym postanowieniu i o listach kardynała infanta do księcia de Bouillon? Czy będę mówił o Paryżu księdzu de Gondi, Olivierowi d'Entraignes, i wam, mości panowie, co widziacie codzień jego nieszczęście i oburzenie? Podczas gdy wszystkie królestwa cudzoziemskie żądają pokoju, bo kardynał Richelieu burzy go zawsze przez swoją złą wiarę (jak to uczynił, zrywając traktat Ratysboński), wszystkie stany państwa jęczą z powodu jego gwałtów i obawiają się tej ogromnej żądzy zaszczytów, zmierzającej nie mniej, niż do doczesnego, a nawet duchowego tronu Francyi.

Potwierdzający szmer przerwał Cinq-Marsowi. Uciszone się na chwilę i usłyszano dźwięk instrumentów dętych i miarowe tupanie nóg tancerzy...

Ten odgłos spowodował chwilę roztargnienia i śmiechy najmłodszych ze zgromadzenia.

Cinq-Mars skorzystał z tego i wznosząc oczy, zawołał:

— Uciechy młodości, miłość, muzyka, ochocze

<sup>1)</sup> D'Olivarès, hrabia-książę de San Lucar.

tańce, dlaczegoż same nie wypełniacie naszych wczasów! czemuż nie jesteście jedynymi naszymi pożądaniami! Dlaczegoż potrzebna nam pamięć urazy, abyśmy kazali słuchać naszych krzyków oburzenia pośród wybuchów śmiechu, naszych straszliwych zwierzeń w schronieniu rozmów serca, i naszych przysięg wojennych pośród upojenia uciech życia!

Biada temu, co zasmuca młodzież ludu! Gdy zmarszczki poradła czoło młodzieńca, można powiedzieć śmiało, że palec tyrana je wyżył. Inne troski młodego wieku przynoszą mu rozpacz, a nie twogę. Patrzcie, jak przechodzą w milczeniu każdego rana studenci: jacy oni smutni i ponurzy, czoła ich zżółkłe, chód wolny, głos cichy; możnaby sądzić, że boją się żyć i zrobić jeden krok ku przyszłości. Cóż więc jest takiego we Francyi? Jeden człowiek zbyt teczny.

Tak — ciągnął dalej — śledziłem przez dwa lata podstępne i głębokie dążenie jego ambicyi. Jego działaczne procedury, jego tajne komisye, jego prawne morderstwa są wam znane: książęta, parowie, marszałkowie, wszystko zostało przez niego zmiażdżone; niema ani jednej rodziny francuskiej, któraby nie mogła po nim wskazać jakiegoś bolesnego śladu. Jeśli nas uważa wszystkich za wrogów swej władzy, to dlatego, że chce zostawić we Francyi jeno swój dom, co przed dwudziestu laty trzymał tylko jedną z najmniejszych lenności Poitou.

Upokorzone parlamenty nie mają już głosu; czy przewodniczący de Mesmes, de Novion, de Bellièvre, wyjawili wam swój męzny, lecz bezowocny opór przeciw skazaniu na śmierć księcia de La Valette?

Przewodniczący i radcy sądów najwyższych zostali uwięzieni, wypędzeni, zawieszani w urzędowaniu, rzecz niestychała! gdy przemówili w obronie króla lub ogółu. Kto zajmuje pierwsze urzędy w trybuna-

łach? ludzie bezecni i zepsuci, wysysający krew i zło to kraju. Paryż i miasta nadmorskie obciążone podatkami; wsie zrujnowane i spustoszone przez żołnierzy, sierżantów i strażników; chłopci zmuszeni do pożywienia i posłania dla bydła, padającego od zarazy lub z głodu, uciekają za granicę: takie jest dzieło nowej sprawiedliwości. To prawda, że ci nowi ajenci kazali bić monetę z wizerunkiem księcia-kardynała. Oto kilka jego sztuk królewskich.

Tu wielki koniuszy rzucił na kobierzec ze dwadzieścia dublonów w złocie, na których Richelieu był przedstawiony.

Nowy szmer nienawiści dla kardynała powstał na sali.

— A czy sądzicie, że duchowieństwo jest mniej spodłone i mniej niezadowolone? Biskupi byli sędziemi wbrew prawom państwa i poszanowaniu, winnemu poświęconym ich osobom. Widziano korsarzy algierskich pod dowództwem arcybiskupa. Ludzie z nicestwa byli podnoszeni do kardynalstwa. Sam minister kazał wybrać siebie na generała zakonów w Citeaux, Clunq, Prémontré, i wrzucić do więzienia zakonników, którzy odmawiali mu swoich głosów. Jezuici, Karmelici, Franciszkanie, Augustianie, Dominikanie byli zmuszeni wybrać we Francyi wikaryuszów generalnych, aby nie mieć już stosunków w Rzymie ze swoimi własnymi przełożonymi, gdyż on chce zostać patriarchą we Francyi i głową kościoła gallikańskiego.

— To schizmatyk, potwór!—odezwały się liczne głosy.

— Jego dążenie jest więc widoczne, mości panowie, jest on gotów zagarnąć świecką i duchową władzę. Obwarował się powoli przeciw królowi nawet w najsilniejszych miejscowościach Francyi; zawładnął ujściami głównych rzek, najlepszymi portami

oceanu, żupami solnemi i wszystkimi rękojmiami królestwa; trzeba więc uwolnić króla od tego uciemiężenia. „Król i pokój,” to będzie nasze hasło. Resztę zostawmy Opatrzności.

Cinq Mars zdziwił bardzo całe zgromadzenie i samego de Thou tą przemową. Nikt go nie słyszał dotąd mówiącego tak długo, nawet w poufnych rozmowach i nigdy nie zdradził ani jednym słowem najmniejszej zdolności do rozpatrywania spraw publicznych; udawał, przeciwnie, zupełną niedbałość przed oczami tych, których zachęcał do służenia swoim zamiarom, okazując im tylko cnotliwe oburzenie przeciw gwałtom ministra, lecz mając szczególne upodobanie do niewysuwania naprzód żadnej ze swych idei, aby nie odstaniać własnej ambicji, jako celu swoich prac. Okazywane mu zaufanie polegało na jego łasce i odwadze. Niespodzianka była więc dosyć duża, aby spowodować chwilę milczenia; milczenie to zostało wkrótce przerwane przez ów zapal, zwykły Francuzom młodym czy starym, gdy się im ukaże przyszłość pełna walk, jakakolwiekby ona była.

Pomiędzy tymi, co podeszli, aby uściskać rękę młodemu przywódcy stronnictwa, ksiądz de Gondi skakał jak koźle.

— Już wystawiłem swój pułk! — wołał. — Mam ludzi przepysznych!

Poczem, zwracając się do Marion de Lorme, dodał:

— Do licha, mościa panno, będę nosił twoje barwy, twoją szarą wstążkę lnianą i twój order „Zapałki.” Jego dewiza jest zachwycająca:

Palimy, aby palić innych!

— I chciałbym, abys mogła widzieć nasze piękne czyny, jeśli na szczęście zaczniemy się bić.

Piękna Marion nie bardzo go lubiła i zaczęła rozmawiać ponad jego głową z imci panem de Thou, co doprowadzało zawsze do rozpaczy nizkiego księdza. Odszedł też od niej żywo, zadzierając nosa i zakręcając z pogardą wąsa.

Nagle ruch niespodziewany przebiegł zgromadzenie i na sali zapanowała cisza. Zwinięty jakiś papier uderzył w sufit i upadł u stóp Cinq-Marsa. Ten podniósł go i rozwinął, spojrzawszy naokoło siebie, lecz napróżno szukano, z kąd mógł pochodzić. Wszyscy ci, co podeszli, mieli na twarzy tylko wyraz zdziwienia i wielkiej ciekawości.

— Oto moje nazwisko źle napisane!—powiedział zimno.

#### DO IMCI PANA DE CINQ-MARCS.

Przepowiednia Nostradamusa.

Kiedy przejdzie przez okno *czapeczka czerwona,*  
*Czterdzieści uncyi pod toporem skona,*  
*I tu skończy<sup>1)</sup>.*

— Między nami jest zdrajca, mości panowie!— dodał, rzucając ów papier. — Lecz mniejsza z tem! Nie jesteście ludźmi, których się straszy krwawą grą słów.

— Trzeba go poszukać i wyrzucić przez okno!— zawołała cała młodzież.

Jednakże zgromadzenie doznało przykrego wrażenia; mówiono sobie już tylko do ucha i każdy spo-

<sup>1)</sup> Omyłka w nazwisku była zrobiona umyślnie, gdyż po francusku *cinq-marcs* znaczy *pięć grzywien*, co się równa *czterdziestu uncyom*, które tu oznaczają Cinq-Marsa. Ten rodzaj przepowiedni w kalemburach stał się powszechny na trzy miesiące przed sprzysiężeniem.

glądał na swego sąsiada z nieufnością. Kilka osób wyszło; zebranie się przerzedziło. Marion de Lorme nie przestawała mówić każdemu, że wypędzi swoją służbę, która jedna powinna być podejrzana. Mimo jej usiłowań, panowała w tej chwili pewna oziębłość na sali. Pierwsze zdania mowy Cinq-Marsa pozostawiły także trochę niepewności co do zamiarów króla, a ta niewczesna otwartość zachwiała nieco najtęższymi charakterami. Gondi zwrócił na to uwagę Cinq-Marsa.

— Słuchaj!—rzekł do niego cicho.—Wierzaj mi, badałem ja pilnie spiski i zgromadzenia; są rzeczy czysto mechaniczne, o których trzeba wiedzieć; posłuchaj tu mego zdania. Stałem się naprawdę dosyć silnym w tem stronnictwie. Potrzeba im jeszcze małego dodatku i najlepiej będzie, gdy użyjesz myśli wręcz przeciwnej, to udaje się zawsze we Francyi; obudzisz w nich zapał tym sposobem. Udać, że nie chcesz za-trzymać ich wbrew ich woli, a pozostaną.

Wielki koniuszy uznał radę za dobrą i podchodząc do najgorliwszych spiskowców, rzekł im:

— Zresztą, mości panowie, nie chcę zmuszać nikogo, aby szedł za mną; dosyć odważnych czeka na nas w Perpignan i nawet cała Francya jest naszego zdania. Jeśli kto chce zapewnić sobie schronienie, niech mówi, damy mu możność otrzymania odtąd rekojmi bezpieczeństwa.

Nikt nie chciał słyseć o tej propozycyi, a spowodowane przez nią poruszenie, wywołało znów nie-nawistne zakłęcia przeciw księciu-kardynałowi.

Cinq-Mars zapytywał jednakże dalej niektóre osoby, a wybierał je trafnie, gdyż skończył na Mont-résorze, który zawołał, że przesyłby siebie na wy-lot szpada, gdyby pomyślał o tem na chwilę, i na Gondim, który, prostując się dumnie, powiedział:

— Mości wielki koniuszy, moje schronienie, to

arcybiskupstwo paryzkie i wyspa Najświętszej Maryi Panny; uczynię z nich miejsce dosyć obronne, aby mnie nie porwano.

— A twoje?—zapytał imci pana de Thou.

— Przy tobie! — odparł łagodnie, spuszezając oczy, nie chcąc nawet nadawać znaczenia swemu postanowieniu przez siłę wzroku.

— Chcesz tego? A więc zgoda! — powiedział Cinq-Mars. — Moje poświęcenie większe, niż twoje w tym względzie.

Potem, zwracając się do zgromadzenia, odezwał się:

— Mściciele, widzę w was ostatnich mężów Francji, gdyż po rodach Montmorency i Soissons wy jedni macie jeszcze śmiałość podnieść głowę wolną i godną starej naszej otwartości. Jeśli Richelieu będzie tryumfował, starożytne pomniki monarchii runą razem z nami; dwór będzie panował sam, zamiast parlamentów, tej starożytnej zapory, a jednocześnie potężnej podwaliny władzy królewskiej; lecz zostaniemy zwycięzcami, a Francja będzie zawdzięczała nam zachowanie swoich starożytnych zwyczajów i swoich rekojmi. Zresztą, moi panowie, byłoby przykro psuć bal z tego powodu; słyszycie muzykę, damy czekają na was, chodźmy tańczyć.

— Kardynał zapłaci skrzypkom! — odezwał się Gondi.

Młodzież przyklasnęła wesoło i wszyscy udali się na salę tańca, jak na plac boju.

## ROZDZIAŁ XXI.

### K O N F E S Y O N A Ł.

Dla ciebie to, piękności fatalna,  
przybywam do tych miejsc straszliwych.

„Lewis,” *Mnich.*

Było to na drugi dzień po zebraniu u Marion de Lorme.

Gęsty śnieg okrywał dachy Paryża i topniał na ulicach i w rynsztokach, gdzie się wznosił w szarych warstwach, pooranych przez koła wozów.

Była godzina ósma wieczorem i noc była ciemna. Tak hałaśliwe zawsze miasto zaległa cisza z powodu grubego kobierca, jakim okryła je zima. Nie pozwalał on słyszeć turkotu kół na kamieniach i stapania konia lub człowieka. W wąskiej uliczce, wijącej się dokoła starego kościoła świętego Eustachego, jakiś człowiek, owinięty płaszczem, przechadzał się wolno, wypatrując, czy nie widać czego na zakręcie. Często siadał na jednym z podmurowań kościoła, chroniąc się przed topnieniem śniegu pod posągami świętych, które się wnoszą ponad dachem



tej świątyni i ciągną przez całą prawie szerokość uliczki, jak ptaki drapieżne, gdy, mając spaść na ziemię, zwiną skrzydła. Często starzec ten odchyłał płaszcz i bił się w piersi rękoma, składając je na krzyż i wyciągając szybko, aby się rozgrzać, lub chuchał w palce, choć je od zimna zabezpieczała para rękawiczek ze skóry bawolej, sięgających aż po łokieć. Nakoniec dostrzegł jakiś mały cień, który się rysował na śniegu i ślizgał po murze.

— Ach, santa Marya! jakże brzydkie te kraje północy! — odezwał się drżący jakiś głosik. — Ach, księstwo di Mantua, jakżebym chciała tam być jeszcze, mój stery Grandchamp!

— No, no, nie mów tak głośno! — odparł porywczy stary służący. — Mury Paryża, a zwłaszcza kościoły, mają kardynałskie uszy. Czy twoja pani weszła? Mój pan czekał na nią u wejścia.

— Tak, tak, weszła do kościoła.

— Cicho! — rzekł Grandchamp. — Zegar bije, skrzypiąc, to zły znak.

— Ten zegar bije godzinę spotkania.

— Dla mnie bije on godzinę konania. Ale eicho bądź, Lauro, gdyż nadchodą jakieś trzy płaszczki.

Zaczekali aż przeszło owych trzech ludzi. Grandchamp poszedł za nimi, zapewnił się co do drogi, jaką się udali, powrócił na swoje miejsce i westchnął głęboko.

— Śnieg zimny, Lauro, a jam stary. Imci pan le Grand mógłby wybrać innego ze swych ludzi, aby stał na straży, jak ja stoję; podczas gdy on się kocha. To dobre dla ciebie nosić bileciki miłosne i wstążeczki, wizerunki i inne podobne fraszki; mnie zaś należałoby traktować z większym poważaniem i imci pan marszałek nie zrobiłby tego. Stara służba każe dom szanować.

— Czy twój pan przybył dawno, *caro amico!*

— *I cara! cara!* daj mi spokój. Marzliśmy już od godziny, kiedyście przybyły obie; zdążyłbym wypalić trzy tureckie fajki. Pilnuj swego i idź zobaczyć przy innych drzwiach kościoła, czy się kto podejrzały nie włóczy; ponieważ są tylko dwie widety, trzeba, żeby tropiły.

— Ach, *Signor Jesu!* nie mieć komu powiedzieć przyjaznego słowa, gdy tak zimno! A moja biedna pani musiała przyjść pieszo od Neverskiego hotelu. Ach, *Amore qui regna, amore!*

— Dalej, Włoszko, odwróć się, mówię, niech już nie słyszę muzyckiej twojej mowy.

— Ach, Jezu, jaki gruby głos, drogi Grandchamp. byleś uprzejmiejszy w Chaumont, w Turena, gdy mi mówiłeś o *miei occhi* czarnych.

— Milez, gaduło, jeszcze raz, twoja włoszczyzna dobra dla błaznów i linoskoków, do bawienia uczonych psów.

— Ach, *Italia mia!* Grandchamp, posłuchaj mnie, a usłyszysz mowę bóstwa. Gdybyś był *un galantuomo*, jak ten, co ułożył dla takiej, jak ja Laury...

I zaczęła śpiewać półgłosem:

Licti fiori e felici, e ben nate erbe  
Che Madona pensanda premer sole;  
Piagga ch'ascolti su dolci parole  
E del bel piede a'cum vestigio serbe<sup>1)</sup>.

Stary żołnierz był mało nawykły do głosu młodych dziewczyn i, w ogólności, gdy mówiła do niego kobieta, ton, jakiego używał w odpowiedzi, był waha-

<sup>1)</sup> Szczęśliwe kwiaty! dla niej był ich zapach miły, Ona po nich stapała, nie deptając ich zgoła. Szczęśliwy brzeg, co słyszał jej mowę aniota, Gdzie jej kroki i myśli zarazem błędziły!

jący się między niezręczną grzecznością a złym humorem. Jednakże tym razem przez wzgląd na włoską piosnkę zdawał się rozczulać i zakręcił wiasa, co było u niego znakiem zakłopotania i strapienia, dał się nawet słyszeć jakiś szmer chrapliwy, dosyć podobny do śmiechu i rzekł:

— To dosyć ładne, *mordius!* to mi przypomina obłęzenie Casalu; ale cicho, mała, nie słyszałem jeszcze, czy nadszedł ksiądz Quillet, to mnie niepokoi; miał przybyć przed naszą młodą parą, i oddawna...

Laura, bojąc się, aby nie musiała sama iść na plac Świętego Eustachego, powiedziała mu, że jest zupełnie pewna, iż ksiądz wszedł przed chwilą i śpiewała dalej:

Ombrose selve, ove percote il sole,  
Che vi fa co'suoi reggi alte e superbe.

— Hm! — rzekł, mrużąc pod nosem — pocziwiec, nogi mam w śniegu, a w uszach rynnę. Marznie mi głowa i serce zamiera, a ty mi śpiewasz tylko o fiołkach, o słońcu, o ziołach i o miłości; cicho bądź!

I zagłębiając się jeszcze bardziej pod spiczastym łukiem świątyni, opuścił starą swoją głowę, pokrytą białymi włosami, na obie ręce, zadumany i nieruchomy. Laura nie śmiała do niego już więcej mówić.

Kiedy jej panna służąca szła na spotkanie staro Grandehamp, młoda i bojaźliwa Marya otworzyła drżącą ręką drzwi kościoła: tu spotkała Cinq-Marsa, stojącego w przebraniu i oczekującego z niepokojem. Zaledwie go poznała, weszła szybkim krokiem do świątyni, trzymając aksamitną maskę na twarzy, i pobiegła do konfesjonatu, gdy tymczasem Henryk zamykał starannie drzwi kościoła, które weszła. Za-

pewnił się, że nie można otworzyć ich z zewnątrz i przyszedł za nią uklęknąć, jak zwykle, w miejscu pokuty. Przybywszy na godzinę przed nią ze swym starym kamerdynerem, zastał te drzwi otwarte, co było nieomylnym i umówionym znakiem, że ksiądz Quillet, jego guwerner, czekał na niego w zwykłym swoim miejscu. Aby nie dopuścić do żadnej niespodzianki, postanowił stanąć sam na straży u tego wejścia, aż do nadejścia Maryi; zachwycony słownością dobrego księdza, nie chciał przecież opuścić swego stanowiska, aby mu iść za nią podziękować. Był to dla niego drugi ojciec, pominawszy już samą powagę, i nie robił sobie z tym pocziwym kapłanem wiele ceremonij.

Stara parafia świętego Eustachego była ciemna; oprócz palącej się nieustannie lampy, płonęły cztery pochodnie z żółtego wosku, przywiązane nad kropielnicami u głównych filarów, rzucając czerwone światło na niebieskie i czarne marmury pustej bazyliki. Światło przenikało z trudnością w zagłębione framugi nawozobnego budynku. W jednej z tych kaplic, i to najciemniejszej, był ów konfesyonał, którego dosyć wysoka żelazna krata, wzmocniona w dwójnasób grubemi deskami, pozwalała widzieć tylko małą kopułę i krzyż drewniany. Tu uklękli z każdej strony, Cinq-Mars i Marya Mantuańska; z trudnością widzieli się nawzajem i poznali, że według swego zwyczaju, ksiądz Quillet, siedzący między nimi, czekał na nich oddawna.

Mogli oni widzieć, jak przez mgłę, poprzez małe okratowania, cień jego płaszczyka.

Henryk d'Effiat zbliżył się powoli; przychodził postanowić i załatwić się, że tak powiemy, z resztą swego losu. Lecz już nie przed królem miał on stanąć, ale przed monarchią potężniejszą, przed tą, dla

której przedsięwziął ogromne swoje dzieło. Szedł doświadczyć jej wiary i drżał. Zadrżał zwłaszcza, gdy młoda jego narzeczona uknęła nawprost niego; zadrżał, gdyż nie mógł na widok tego anioła nie odczuć całego szczęścia, jakie mógłby utracić; nie śmiał mówić pierwszy i wpatrywał się jeszcze przez chwilę w jej głowę w cieniu, w tę młodą głowę, na której się opierały wszystkie jego nadzieje. Mimo swej miłości, za każdym razem, gdy ją widział, nie mógł się zabezpieczyć od jakiegoś strachu, że tyle przedsięwziął dla dziecka którego namiętność była tylko słabym odblaskiem jego namiętności, i że może nie oceniła wszystkich poświęceń, jakie uczynił, nagięwszy swój charakter dla niej do grzeszności dworaka, skazanego na intrygi i cierpienia ambicyi, od danego głębokim zestawieniem, zbrodniczym rozmyślaniom, ciemnej i pogwałconej pracy spiskowca. Dotychczas w ich tajemnych i skromnych widzeniach się przyjmowała zawsze każdą wiadomość o postępach w jego karierze z nniesieniami przyjemności dziecka, lecz nie oceniając trudu każdego z jego kroków tak uciążliwych, zmierzających do zaszczytów, i zapytując go zawsze z naiwnością, kiedy zostanie wielkim hetmanem wreszcie i kiedy się pobiorą, jakby zapytała, kiedy przybędzie na karuzel i czy jest czas pogodny. Dotąd bawiły go te zapytania i ta nieświadomość do darowania w osiemnastoletniej panience, urodzonej na tronie i przyzwyczajonej do wspaniałości, że się tak wyrazimy, naturalnych i spotykanych dokoła przez nią od chwili przyjścia na świat. Lecz w tej godzinie zastanowił się poważniej nad tym charakterem, i gdy przy wyjściu prawie z nakazującego poszanowanie zgromadzenia spiskowców, przedstawicieli wszystkich stanów królestwa, o jego uszy, w których brzmiały jeszcze głosy mężkie, co przyśleły przedsiębrać wielką wojnę, odbiły się pierwsze

słowa tej, dla której była ona zaczęta, zdjęta go pierwszy raz obawa, żali ten rodzaj niewinności nie był rodzajem lekkomyślności i nie sięgał aż do serca; postanowił je zgłębić.

— Boże! jakże się boję, Henryku!—powiedziała, wchodząc do konfesyonału; — każesz mi przychodzić bez straży, bez karocy; drzę zawsze na myśl, że mogę być widziana przez swoich ludzi, wychodząc z Newerskiego hotelu. Czyż będę musiała jeszcze długo ukrywać się, jak winowajczyni? Królowa nie była zadowolona, gdy jej to wyznałam; jeśli będzie do mnie o tem jeszcze mówiła, to ze znaną ci surową swoją miną, która pobudza mnie zawsze do płaczu; boję się bardzo.

Umilkła, a Cinq-Mars odpowiedział tylko głębokim westchnieniem.

— Co! nie mówisz do mnie!—rzekła.

— Czyż to są wszystkie twoje obawy?—zapytał Cinq-Mars z goryczą.

— Mam-że mieć jeszcze większe? O, mój przyjacielu! jakimże tonem, jakimże głosem przemawiasz do mnie? czy gniewasz się, że przyszedłam za późno?

— Zawsze, pani, zanadto wcześnie, ze względu na rzeczy, jakie masz usłyszeć, bo widzę, że jesteś od nich bardzo oddalona.

Marya, zasmucona ponurem i gorzkim brzmieniem jego głosu, zaczęła płakać.

— Niestety! mój Boże! cóż więc uczyniłam—powiedziała — że nazywasz mnie panią i obchodzisz się ze mną tak ostro?

— Ah! uspokój się—odparł Cinq-Mars, ale ciągle z ironią.—Wistocie, nie jesteś winna, lecz ja nim jestem, ja jestem sam jeden, nie względem ciebie, ale dla ciebie.

— Czyż więc zrobiłeś co złego? Czy kazałeś

kogo zabić? Oh! nie, jestem tego pewna, tyś taki dobry!

— Co słyszę! — zawołał Cinq-Mars — czyż obce dla ciebie są moje zamiary? czyż źle zrozumiałem twoją myśl, gdy patrzyłaś na mnie u królowej? czyż nie umiem już czytać w twoich oczach? czyż ogień, co je ożywiał, płonął z wielkiej miłości dla Richelieu? cóż się stało z owym uwielbieniem, które obiecywałaś dla tego, co się ośmieli mówić królowi o wszystkim? Czyż to wszystko kłamstwo?

Marya rozplywała się we łzach.

— Mówisz do mnie zawsze z przymusem — rzekła — nie zasłużyłam wcale na to. Jeśli nie mówię ci nie o tym strasliwym spisku, czy sądzisz, że zapominam o nim? czyż nie znajdujesz mnie dosyć nieszczęśliwą? czy potrzebujesz koniecznie widzieć moje łzy? Oto one. Przelewam ich dosyć potajemnie, Henryku, wierz, że jeśli unikałam za ostatniem widzeniem się naszym tego przedmiotu, to z obawy, aby się za dużo o nim nie dowiedzieć; czyż myślę o czem innem po za twojemi niebezpieczeństwami? czyż nie wiem, że to dla mnie narażasz się na nie? Niestety! jeśli walczysz dla mnie, czy nie stawiam czoła napaściom nie mniej okrutnym? Ty, szczęśliwszy ode mnie, walczysz tylko z nienawiścią, gdy ja walczę z przyjaźnią; kardynał postawi przeciw tobie broń i ludzi, a królowa, słodka Anna Austriacka, używa tylko czułych rad, pieszczot, a niekiedy łez.

— Wzruszający i niezwycki przymus — odparł Cinq-Mars z goryczą — aby cię nakłonić do przyjęcia tronu. Pojmuję, że potrzeba ci było pewnych wysiłków przeciw takim pokusom; lecz naprzód, pani, należy koniecznie uwolnić się od twoich przysiąg.

— Niestety! wielki Boże? cóż jest przeciwko nam?

— Jest Bóg nad nami i przeciwko nam — odparł Henryk surowym głosem; — król mnie oszukał!

Książd poruszył się w konfesyonale. Marya zawołała:

— Tego się właśnie obawiałam; przewidywałam to nieszcześnie. Czy to ja je sprawiłam?

— Oszukał mnie, ściskając mi rękę — ciągnął Cinq-Mars; — zdradził mnie przez tego nikczemnego Józefa, i chcą, abym pozwolił go zasztyletować.

Książd poruszył się ze zgrozą, aż drzwi konfesyonalu nawpół się otworzyły.

— Ah! mój ojcze, nie lękaj się niczego — ciągnął Henryk d'Effiat; — twój wychowaniec nie zada nikomu takich ciosów. Te, które ja przygotowuję, dadzą się słyszeć zdaleka i światło dzienne je oświetli; ale zostaje mi jeden obowiązek do spełnienia, obowiązek święty: patrz na swoje dziecko, jak się poświęca przed tobą na ofiarę. Niestety! nie długo cieszyłem się szczęściem: przychodzę zniszczyć je może twoją ręką, tą samą, co je poświęciła.

To mówiąc, otworzył lekko okratowanie, oddzielające go od starego guwernera; ten, zachowując ciągle zadziwiające milczenie, zasłonił twarz płaszczkiem:

— Zwróć — rzekł Cinq-Mars głosem mniej pewnym — zwróć tę obrączkę ślubną księżniczce Mantuańskiej; nie mogę jej zatrzymać, chyba że mi ją da poraz wtóry, gdyż nie jestem już tym samym, którego przyrzekła zaślubić.

Kapłan schwycił porywezo pierścieni i podał go przez okratowanie z przeciwnej strony; ten znak obojętności zdziwił Cinq-Marsa.

— Co widzę, mój ojcze! — zawołał — czyż i ty się zmieniłeś?

Jednakże Marya już nie płakała, lecz podne-

sząc swój głos anielski, który obudził słabe echo wzdłuż śpiczastych łuków świątyni, jak najłagodniejsze westchnienie organów, powiedziała:

— O, mój przyjacielu! nie gniewaj się, ja ciebie nie rozumiem; czyż możemy rozerwać to, co Bóg złączył, i czyż mogłabym cię opuścić, wiedząc, że jesteś nieszczęśliwy! Jeśli król nie lubi już ciebie, masz przynajmniej pewność, że nie zrobi ci nic złego, gdyż nie zrobił nic kardynałowi, chociaż go nie lubił nigdy. Uważasz siebie za zgubionego dlatego, że nie chciał może rozłączyć się ze starym swoim sługą? A więc czekajmy na przywrócenie jego przyjaźni; zapomnij o tych spiskowcach, którzy mnie przerażają. Jeśli oni nie mają już nadziei, dziękuję zato Bogu, nie będę już drżała o ciebie. Co ci jest zatem, mój przyjacielu, i naczóż mamy martwić się niepotrzebnie? Królowa nas kocha, a my jesteśmy oboje bardzo młodzi, czekajmy. Przyszłość mamy piękną, gdyż jesteśmy złączeni i pewni siebie samych. Opowiedz mi, co król mówił do ciebie w Chambord. Ścigałam cię długo uczyma. Boże! jakże te łowy były dla mnie smutne!

— On mnie zdradził! mówię ci — odparł Cinq-Mars; i ktoby mógł temu uwierzyć, kiedy go widziałas, jak ścisnął naszą rękę, przechodząc od swego brata do mnie i do księcia de Bouillon, gdy kazał sobie objaśnić najmniejsze szczegóły sprzysiężenia, dotyczące się nawet dnia, kiedy miano aresztować Richelieugo w Lyonie, gdy naznaczał miejsce jego wygnania? (bo chcieli jego śmierci; ale pamięć mojego ojca kazała mi prosić o jego życie). Król mówił, że sam zarządzi wszystkim w Perpignan, a tymczasem Józef, ten bezwstydnny szpieg, wychodził z gabinetu Lili! O, Maryo! mam-że ci wyznać? w chwili, gdy się o tem dowiedziałem, moja dusza była wzburzona; zwątpiłem o wszystkim, i zdawało mi się, że środek

świata chwiał się, widząc, że prawda opuszcza serce króla. Widziałem, jak waliła się cała nasza budowa; jeszcze godzina, a sprzysiężenie obróci się wniwecz; tra-ciłem cię na zawsze; jeden środek mi pozostał, uży-tem go.

— Jaki?

— Traktat hiszpański był w moich rękach, pod-pisałem go.

— Na Boga! podrzyj go.

— Wysłany.

— Kto go wiezie?

— Fontrailles.

— Odwołaj go.

— Musiał już przebyć wąwóz Oloroński — od-parł Cinq-Mars, wstając. — Wszystko gotowe w Madry-cie, wszystko w Sedanie; armie czekają na mnie, Ma-ryo, armie! a Richelieu jest pośród nich! Chwiej się, potrzeba już tylko jednego ciosu, aby go obalić, a be-dziesz należała do mnie na zawsze, do Cinq-Marsa tryumfującego!

— Do Cinq-Marsa buntownika — powiedziała jęcząc.

— A więc tak, buntownika, ale już nie fawory-ta! Buntownika, zbrodniarza, godnego rusztowania, wiem o tem! — zawołał, uniesiony namiętnością mło-dzieniec, padając znów na kolana; — lecz buntownika przez miłość, buntownika dla ciebie, którą moja szpa-da zdobędzie w końcu zupełnie.

— Niestety! czyż szpada, zboczona krwią swo-ich, nie jest sztyletem?

— Wstrzymaj się, przez litość, Maryo! Niechaj królowie mnie porzucają, niech wojownicy mnie opu-szczają, będę jeszcze silniejszy; lecz będę zwyciężo-ny przez jedno twoje słowo, i raz jeszcze przyszedł dla mnie czas zastanowienia; tak, jestem występny, dlatego to waham się jeszcze uważać siebie za go-

dnego ciebie. Opuść mnie, Maryo, weź z powrotem tę obrączkę.

— Nie mogę — rzekła — gdyż jestem twoją żoną jakimkolwiek jesteś.

— Czy słyszysz to, mój ojciec — powiedział Cinq-Mars, uniesiony szczęściem — pobłogosław ten wtóry związek, to związek poświęcenia, piękniejszy jeszcze, niż miłości. Niech będzie moją, dopóki życia mego!

Nie odpowiadając, ksiądz otworzył drzwi konfesyonatu, wyszedł nagle i opuścił wnętrze kościoła, zanim Cinq-Mars zdążył się podnieść, aby iść za nim.

— Dokąd idziesz? co ci jest? — zawołał.

Ale nikt się nie zjawił i nie dał słyszeć.

— Nie krzycz, na litość Boską! — rzekła Marya — inaczej będę zgubiona! usłyszał niewątpliwie, że ktoś jest w kościele.

Lecz zaniepokojony i nie dając jej odpowiedzi, d'Effiat rzucił się naprzód, a nie znalazłszy pod arkadami swego gubernera, pobiegł do drzwi, ale były zamknięte; dobywszy szpady, obiegł wtedy kościół, a stając u wejścia, którego miał pilnować Grandchamp, zawołał na niego i słuchał.

— Puście go teraz! — odezwał się jakiś głos w rogu ulicy.

I konie ruszyły cwałem.

— Grandchamp, odezwijże się! — wołał Cinq-Mars.

— Na pomoc, Henryku, moje drogie dziecię! — odpowiedział głos księdza Quilleta.

— Eh! zkadże więc przybywasz? Narażasz mnie! — odparł wielki koniuszy, zbliżając się do niego.

Lecz spostrzegł, że jego biedny gubernier, bez kapelusza, pod śniegiem, który padał, nie był w stanie dać mu odpowiedzi.

— Zatrzymali mnie, ograbili — wołał — zło-

czyńcy! mordercy! nie pozwolili mi krzyżeć, zatkali mi usta chustką.

Na ten hałas Grandchamp nadszedł w końcu, przecierając sobie oczy, jak człowiek budzący się ze snu. Laura, przerażona, pobiegła do kościoła do swojej pani; wszyscy wrócili śpiesznie, aby uspokoić Maryę, i otoczyli starego księdza.

— Zbrodniarze! związali mi ręce, jak widzicie, było ich przeszło dwudziestu; zabrali mi klucz od tych drzwi kościoła.

— Co! przed chwilą? — rzekł Cinq-Mars — a dla czegoż nas opuszczasz?

— Was opuszczam! Już więcej, niż dwie godziny, jak mnie trzymają!

— Dwie godziny! — zawołał Henryk przerażony.

— Ah! biada mojej siwej głowie! — wołał Grandchamp — ja spałem, gdy niebezpieczeństwo groziło memu panu! pierwszy raz mi się to zdarzyło!

— Więc to nie ty byłeś z nami w konfesyonale? — mówił dalej Cinq-Mars z trwogą, gdy Marya, drżąc, tuliła się do jego ramienia.

— Jaktó! — zapytał ksiądz — czyż nie widzieliście złoczyńcy, któremu oni dali mój klucz?

— Nie! któż to? — zawołałi wszyscy jednocześnie.

— Ojciec Józef! — odpowiedział poczciwy kapłan.

— Uciekaj! jesteś zgubiony! — krzyknęła Marya.

## ROZDZIAŁ XXII.

## BURZA.

Blow, blow, thou winter wind.  
 Thou art not so unkind,  
 As man's ingratitude:  
 Thy though is not so keen,  
 Because thou art not scen  
 Aithou thy breath be rude.  
 Heig-ho! sing, heig-ho! unto the green holly,  
 Most friendship is feigning; most loving mere folly.

*Shakspeare.*

Wiej, wiej, zimowy wietrze,  
 Tyś nie tak okrutny,  
 Jak ludzka niewdzięczność:  
 Twój żąb nie tak dotkliwy,  
 Boś ty niewidzialny,  
 Choć powiew twój jest ostry.  
 Hej-ho! śpiewaj, hej-ho-he! śród leśnej zieleni,  
 W przyjaźni są fałszywi, w miłości — szaleni!

Pośród tego długiego i wspaniałego łańcucha  
 Pirynejów, co tworzy karbowane międzymorze pół-  
 wyspu, pośród błękitnych piramid, obciążonych śnie-  
 giem, lasami i darnią, otwiera się wązki wąwóz, two-

rząc ścieżkę w wyschniętem łożysku prostopadłego  
 potoku; wąwóz ten krąży między skałami, ślizga się  
 pod mostami z nagromadzonego śniegu, wije się brze-  
 giem ukrytych pod nim przepaści, aby się piąć na  
 sąsiednie góry Urdozu i Oloronu, i wznosząc się na-  
 koniec po nierównym ich grzbiecie, ryje mglisty ich  
 wierzchołek; nowy kraj, mający jeszcze swoje góry  
 i głębie, zwraca się na prawo, opuszcza Francję  
 i schodzi do Hiszpanii. Nigdy zadarta podkowa mu-  
 liey nie zostawiła swego śiadu w tych zakrętach:  
 człowiek, w sznurowem obuwiu, chroniącem od śli-  
 zgawicy, uzbrojony w kij, okuty żelazem i zakończony  
 treflą, ostrzegająca o rozpadlinach skał, zaledwie  
 może utrzymać się tu na nogach. W piękne miesiące  
 letnie, *el pastour*, ubrany w swoją szarą kapicę i czar-  
 ny baran z długą brodą, prowadzą tam stada, których  
 wisząca wełna zamiata murawę. W tych urwistych  
 miejscach słyhać już tylko wielkie dzwonki baranów,  
 a nierówne ich odgłosy wywołują nieprzewidziane  
 akordy, przypadkowe gamy, które dziwią podróżnego  
 i rozweselają dzikiego i milczącego ich pasterza. Ale  
 gdy nadejdzie długi miesiąc sierpień, śnieżny całun  
 rozpościera się od wierzchołka gór aż do ich podsta-  
 wy, i nie tyka jeno tej ścieżki głęboko wyżłobionej,  
 kilku ciasnych otworów, utworzonych przez strumienie,  
 i kilku skał granitowych, co wydłużają swój kształt  
 dziwaczny, jak kości zagrzebanego świata.

Wtedy to widać, jak się zlatują lekkie stada  
 giemz: odrzucając w tył zakrzywione rogi, przenoszą  
 się ze skały na skałę, jakby wiatr pędził je przed  
 sobą, i biorą w posiadanie powietrzną swoją pusty-  
 nię; gromady kruków i wron krążą bezustannie nad  
 przepaściami i w naturalnych studniach, które zamie-  
 niają w ciemne gołębniki, podczas gdy brunatny niedź-  
 wiedz, na czele kosmatej swojej rodziny, bawiącej się  
 i tarzającej dokoła niego na śniegu, wychodzi powoli

ze swego legowiska, pokrytego śniegiem. Ale to nie są ani najdziksi, ani najokrutniejsi mieszkańcy, jakich sprowadza zima w te góry; śmiały przemytnik pozwala sobie nawet na wystawienie drewnianego domu na samej granicy przyrody i polityki; tu nieznanne układy, tajemne wymiany, odbywają się między dwiema Navarrami, pośród mgieł i wiatrów.

Na tej to wąskiej ścieżce, na pochyłości Francji, w dwa miesiące niespełna po wypadkach, które zaszyły, jakeśmy to widzieli, w Paryżu, dwaj podróżni, przybywający z Hiszpanii, zatrzymali się o północy, znużeni i pełni trwogi. W górach słychać było wystrzały.

— Łajdaki! jak oni nas ścigali! — rzekł jeden z nich — już nie mogę iść dalej! gdyby nie ty, byłbym schwytany.

— I zostaniesz schwytany razem z tym przekętym papierem, jeśli będziesz tracił czas na gadaniu; oto drugi wystrzał na skale Świętego Piotra z Alcantary; sądzą, żeśmy uciekli od strony Limaçonu; lecz na dole spostrzegą się, żeśmy w stronie przeciwnej. Schodź. To patrol niewątpliwie ściga przemytników. Schodź!

— Eh! jakże? nic nie widzę.

— Schodź ciągle, i weź mnie za rękę.

— Podtrzymaj mnie; ślizgam się w swoich butach — rzekł pierwszy podróżny, czepiając się ostrych końców skały, aby się upewnić co do mocy terenu, zanim postawił na nim nogę.

— Idź-że, no, idź-że! — rzekł drugi, popychając go naprzód; oto jeden z tych łotrów przechodzi nad naszą głową.

Wistocie, cień człowieka, uzbrojonego w długą strzelbę zarysował się na śniegu. Dwaj awanturnicy stanęli nieruchomi. Gdy przeszedł, zaczęli dalej schodzić.

— Schwytają nas! — powiedział ten, co podtrzymywał swego towarzysza — jesteście więźni. Daj mi przekłętą swą pergamin, mam ubranie przemytników i za takiego się podam, szukając u nich schronienia; lecz tobie ratować się nie sposób w tem ubraaniu wygalonowanym.

— Masz słusność — rzekł tamten, zatrzymując się na szczycie skały.

I zostając w zawieszaniu pośród spadzistości, podał mu drewniany walec, wydrążony w środku. Rozległ się wystrzał, i kula ze świstem i drżeniem zaryła się w śniegu tuż pod ich stopami.

— Ostrzeżenie! — rzekł pierwszy. — Spuść się na dół; jeśli nie zginiesz, pójdziesz drogą. Na lewo od Gavy jest Święta Maryja; lecz zwróć się na prawo, przejdź przez Oloron, a staniesz na drodze do Pau i będziesz ocalony. No, dalej!

To mówiąc, popchnął swego towarzysza i nie racząc nań spojrzeć, zaczął iść poziomo po wyniosłości górskiej, czepiając się kamieni, gałęzi, nawet roślin, ze zręcznością dzikiego kota, i wkrótce stanął na twardym wzgórzu, przed małą chałupką z desek, tak luźno z sobą spojonych, że przez nie widać było światło. Awanturnik obszedł wszystko dokoła, jak zgłodniały wilk obchodzi zwierzyniec, i przyłożywszy oko do jednego z otworów, zobaczył coś, co go skłoniło, jak się zdaje, do wejścia, gdyż bez wahania pchnął chwiejące się drzwi, których nie zamykała nawet licha zasuwka. Cała chałupka zatrzęsa się pod wymierzonym przezeń uderzeniem pięści; ujrzał wtedy, że była podzielona na dwie cele przez przepięrzenie. Wielka pochodnia z żółtego wosku oświetlała pierwszą; tu, młoda dziewczyna, blada i straszliwie chuda, siedziała skulona na wilgotnej ziemi, gdzie płynęła woda ze śniegu topniejącego pod deskami chałupki. Czarne włosy, potargane i okryte kurzem,



ale bardzo długie, spadały w nieładzie po jej szacie z szarej guni; czerwony kaptur pirenejski okrywał jej głowę i ramiona; miała spuszczone oczy i przedła małą kędziel, przywiązaną do pasa. Wejście człowieka nie zmieszało jej wcale.

— Eh! eh! *la moza* <sup>1)</sup>, wstań i daj mi pić; jestem zmęczony i mam pragnienie.

Dziewczyna nie odpowiedziała i, nie podnosząc oczu, przedła pilnie dalej.

— Słyszysz? — rzekł cudzoziemiec, popychając ją nogą — idź powiedzieć panu, którego tam widziałem, że jeden przyjaciel przybył do niego w odwiedziny, lecz naprzód daj mi pić. Będę spał tutaj.

Odpowiedziała ochryplym głosem, przedąc ciągle:

— Piję śnieg, co topnieje na skale, lub zieloną pianę, co pływa na wodzie bagien; lecz kiedy dobrze przedę, dają mi wodę z żelaznego źródła. Gdy śpię, zimna jaszczurka pełza po mojej twarzy; ale kiedy umyję dobrze mulicę, rzucają siano; siano jest zimne; siano dobre i ciepłe; kładę je na marmurowe swoje nogi.

— Cóż to za historye mi opowiadasz? — powiedział Jakób — nie mówię o tobie.

Dziewczyna mówiła dalej:

— Każą mi trzymać człowieka, podczas kiedy go zabijają. Oh! ileż krwi miałam na swoich rękach! Niech im Bóg przebaczy, jeśli to możebne. Kazali mi trzymać jego głowę i cebrzyk napełniony wodą czerwoną. Przebóg! ja byłam oblubienicą Bożą! wrzucają ich ciała w przepaść śnieżną; ale sęp je odnajduje; wyściela swe gniazdo ich włosami. Widzę cię teraz w pełni życia, zobaczę cię zakrwawionego, blatego i umarłego.

<sup>1)</sup> Dziewczyna.

Awanturnik, wzruszając ramionami, zaczął gwiźdać i pchnął drugie drzwi; zastał człowieka, którego widział przez szpary lepianki: miał on niebieski *berret* <sup>1)</sup> Basków, nasunięty na ucho, i był okryty szerokim płaszczem, siedział zaś na jukach muła, schyłony nad żelaznym naczyniem do ogrzewania, palił cygaro i wypróżniał stojący obok gąsior. Blask z rozżarzonych węgla oświetlał jego twarz tłustą i żółtą, jak również izbę, gdzie stały siodła mułów dokoła tego *brasero*, jak siedzenia. Podniósł głowę, nie przeskadzając sobie przecież.

— Ah! ah! to ty, Jakóbie? — powiedział — więc to ty? Chociaż to już cztery lata, jak cię nie widziałem, poznaję cię, nie zmieniłeś się, rozbójniku; to zawsze twoja wielka postać ladaco. Siadaj, wypijemy po kieliszku.

— Tak, oto jestem tu znów; ale z kąd, u dyabła, ty się tu znajdujesz? Houmain, myślałem, że jesteś sędzią!

— Ja zaś myślałem, że jesteś kapitanem hiszpańskim, Jakóbie!

— Ah! byłem nim jakiś czas, to prawda, a później więźniem; ale wydostałem się z tego dosyć szczęśliwie i wróciłem do dawnego stanu, do wolnego stanu, do pocziwego starego przemytnictwa.

— *Viva! viva! jaleo!* — zawołał Houmain — my śmiałki, zdadni jesteśmy do wszystkiego. Tam do licha! ale... więc zawsze chodziles inými *portami* <sup>2)</sup>, bo nie widziałem cię, odkąd wróciłem do rzemiosła.

— Tak, tak, chodziłem, którądy ty nie przejdziesz! — odparł Jakób.

<sup>1)</sup> Czapeczka wełniana.

<sup>2)</sup> Nazwy dróg, prowadzących z Hiszpanii do Francji przez Pireneje.

— I cóż przynosisz?

— Towar nieznan; moje muły przybędą jutro.

— Czy to wstążki jedwabne, cygara, czy wełna?

— Dowiesz się o tem później, *amigo* — rzekł zawalidroga; daj mi gąsior, mam pragnienie.

— Masz, pij, to prawdziwy *valdepenas!* Któż szczęśliwszy od nas, *bandolerosów?* *¡i! ¡aleo! ¡aleo!* <sup>1)</sup>

— Jacy przyjaciele? — zapytał Jakób, stawiając nagle gąsior.

— Bądź spokojny, pij; opowiem ci o tem, a potem zaśpiewamy *Tiranę* <sup>2)</sup> andaluzyjską.

Awanturnik wziął gąsior i udawał, że pije spokojnie.

— Cóż to za dyablica, którą widziałem tam przy drzwiach? ma minę nawpół martwą.

— Nie, nie; ona jest tylko obłąkana; pij, opowiem ci o tem.

I wyjąwszy z za pasa czerwonego długi sztylet zębaty z obu stron w kształcie piły, Houmain użył go do rozżarzania i zapalenia płomieniem węgla, i rzekł z poważną miną:

— Dowiesz się naprzód, jeśli o tem nie wiesz, że tam (wskazał w stronę Francyi) ten stary wilk Richelieu prowadzi ich, bijąc w bęben.

— Ach, ach! — zawołał Jakób.

— Tak; nazywają go *królem króla*. Wiesz? Jednakże znalazł się pewien młodzik, prawie tak silny, jak on, nazywają go imię panem le Grand. To pacholę stoi na czele prawie całej armii perpignańskiej w tej chwili i przybyło przed miesiącem; lecz stary siedzi ciągle w Narbonne, a to szczwany lis. Król — raz taki, raz owaki (to mówiąc Houmain drapał się

<sup>1)</sup> Wykrzyknik i kłątwa — zwykle Hiszpanom i nie dające się przetłómaczyć.

<sup>2)</sup> Rodzaj ballady.

ręką w plecy i w okolicy biodra); tak, między młotem a kowadłem. Ale zanim on się namyśli, ja trzymam za młotem, to jest za kardynałem i zawsze służyłem sprawom jasnie oświeconego pana od czasu pierwszej, którą mi dał przed trzema blisko laty.

Opowiem ci o niej.

Potrzeba mu było ludzi z charakterem i z głową na karku do jednej małej wyprawy, powołał mnie tedy na namiestnika kryminalnego.

— Ach, ach! to ładne stanowisko, mówiono mi o tem.

— Tak, jest to frymarczenie podobne do naszego, w którym sprzedaje się sznur zamiast nici; mniej to zaszczytne: każda rzecz ma swoją cenę.

— Słusznie — rzekł Jakób.

— Tak więc przywdziałem suknię czerwoną; służyła mi ona do włożenia żółtej z siarki na grzbiet pięknego młodzieńca, który był księdzem w Loudunie i siedział w klasztorze mniszek, jak wilk w owczarni, więc się też upiekł.

— Ach, ach, ach! to bardzo zabawne — zawołał, śmiejąc się Jakób.

— Pij — ciągnął Houmain. — Tak, zapewniam cię, Jagonie, że widziałem go po sprawie, zamienionego w grudki czarne, jak ten węgiel, patrz, jak ten węgiel na końcu mego sztyletu. Ot, co z nas zostaje! tak będziemy wyglądali w piekle.

— Och! tylko bez tych żartów! — rzekł drugi bardzo poważnie; — wiesz, że jestem człowiekiem wierzącym.

— Ach! nie przeczę, to być może — odparł Houmain tym samym tonem. — Richelieu jest wistocie kardynałem! ale, w końcu, mniejsza z tem. Powiem ci

tylko, że ponieważ byłem donosicielem, to mi przyniosło...

— Ach! dowcipkujesz, nieponiui!

— Tak, zawsze potroszę! Powtarzam więc, że to mi przyniosło pięćset piastrow, gdyż Armand Duplessis płaci dobrze swoim ludziom; nie można nie powiedzieć, chyba tylko, że nie swojemi pieniędzmi; ale my wszyscy tak robimy. Wtedy, dalibóg, chciałem umieścić te pieniądze w naszym dawnym handlu; wróciłem tu. Rzemiosło idzie dobrze, na szczęście, kara śmierci nam grozi, a towar wzbogaca.

— Co widzę—zawołał Jakób—błyskawica w tym miesiącu!

— Tak, burze się zaczynają, były już dwie. Jesteśmy w chmurach; czy słyszysz grzmoty? Ale to nic; pij dalej. Już jest blisko pierwsza nad ranem; kończy się gąsior i noc zarazem. Mówiłem ci tedy, że poznałem naszego przewodniczącego, wielkiego łotra, nazwiskiem Laubardemont. Nie wiem, czy znasz go?

— Tak, znam, trochę—rzekł Jakób—to straszny sknera, lecz mniejsza, mów.

— Otóż, ponieważ nie mieliśmy żadnych tajemnic dla siebie, zwierzyłem mu się ze swemi małemi zamiarami i zaleciłem mu, ażeby przy nadarzonej do dobrych interesów sposobności pamiętał o swym towarzyszu z trybunału. Nie omieszkał z niej korzystać, nie mogę się na to skarżyć.

— Ach, ach! — powiedział Jakób. — I cóż zrobił?

— Naprzód przed dwoma laty przywiózł mi sam swoją siostrzenicę, którą widziałeś przy drzwiach.

— Swoją siostrzenicę—zawołał Jakób, wstając— a ty ją traktujesz, jak niewolnicę, Demonia!

— Pij dalej — ciągnął Houmain, rozniecając ostrożnie żar swoim sztyletem; on sam tego sobie życzył. Siądźże.

Jakób usiadł nanowo.

— Zdaje mi się — ciągnął przemytnik — że nie gniewałby się, gdyby wiedział, że ona... rozumiesz. Wolałby widzieć ją pod śniegiem, niż na śniegu, lecz nie chciał sam przyłożyć do tego ręki, gdyż jest dobrym krewnym, jak powiada.

— I jak mi wiadomo — rzekł nowo przybyły— ale mów dalej...

— Łatwo zrozumieć, że taki, jak on człowiek, żyjący na dworze, nie chce u siebie trzymać obłąkanej siostrzenicy. To bardzo proste. Gdybym się utrzymał dalej przy swojej roli sędziego, postąpiłbym tak samo w podobnym wypadku. Ale my tu nie gramy, jak widzisz, wziąłem ją tedy na *criade*<sup>1)</sup>; okazała ona więcej zdrowego rozsądku, niżeli sądziłem, chociaż powtarzała prawie zawsze tylko jedno słowo i była zrazu bardzo słaba. Teraz czyści muła zgrzebłem, jak parobek. Ma przecież od kilku dni małą gorączkę; lecz to się skończy tak, czy owak. Tam do licha! tylko nie mów Laubardemontowi, że jeszcze żyje; będzie myślał, że to przez oszczędność tak jej pilnowałem, aby mieć służącą.

— Co! czyż on jest tu?—zawołał Jakób.

— Pij dalej — odparł flegmatyczny Houmain, który dawał sam dobry przykład na poparcie ulubionego swego zdania i zaczynał przymykać nawpół oczy z rozczuloną miną.— To, widzisz, druga sprawa,

<sup>1)</sup> Służąca.

jaką mam z tym pocziwym Lombar-dimonem, demonem, czy jak tam się zowie. Kocham go, jak swoje zdrowie, i dlatego chcę, abyśmy wypili za jego zdrowie to winko jurançońskie; to wino birbanta, nieboszczyka króla Henryka. Jakżeśmy szczęśliwi tu! Z Hiszpanią w prawicy, z Francją w lewicy, między gąsiorem a butelką! Butelka! rzuciłem wszystko dla niej!

I wysadził korek z butelki białego wina.

Po wypiciu z niej kilku długich łyków mówił dalej, gdy cudzoziemiec pożerał go oczyma:

— Tak, on jest tu, i musiały mu zziębnąć nogi, gdyż biega po górach od zachodu słońca z przyboczną swoją strażą i naszymi towarzyszami, wiesz, naszymi *bandoleros*, prawdziwymi *contrabandistas*.

— A pocóż, u licha, tak biegają? — zapytał Jakób.

— Ach! oto śmieszna strona sprawy! — odparł pijak.—Po to, aby zatrzymać dwóch szelmów, którzy chcą sprowadzić tu sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy hiszpańskich na papierze w swojej kieszeni. Nie rozumiesz może, gdyż mówię półsłówkami, gałganie! he? otóż tak jest, jak ci mówię, w swojej własnej kieszeni.

— Owszem, rozumiem! — rzekł Jakób, uderzając ręką po puginale, zawieszonym u pasa i patrząc na drzwi.

— A więc, synu dyabła, śpiewajmy „Tiranę!” Weź butelkę, rzuć cygaro i śpiewaj.

Przy tych słowach chwiejący się gospodarz zaczął śpiewać po hiszpańsku, przerywając piosenkę pełnemi szklakami, z których wlewał wino do swego gardła, przechylając się w tył, podczas gdy Jakób, ciągle siedząc, spoglądał na niego ponurem

okiem przy blasku żaru i rozmyślał nad tem, co miał robić.

Ja, co jestem przemytnikiem,  
I nie cofam się przed nikim,  
Śmiało wszystkim stawiam czoło,  
Więc szanują mnie wokoło.  
*Ay, ay jaleo!* dziewczęta,  
Która kupi czarnych nici?

Blask błyskawicy wpadł przez okienko w dachu i napełnił izbę zapachem siarki; straszliwy huk nastąpił zaraz potem, lepianka zadrżała i jedna belka wypadła z zewnątrz.

— Oh, oh, mój dom! — wołał pijak. — Dyabeł zawitał do nas! Przyjaciele coś nie wracają!

— Śpiewajmy! — rzekł Jakób, przysuwając juki, na których siedział, do Houmaina.

Ten wypił dla nabrania animuszu i śpiewał dalej:

*Ay!* nadciaga zewsząd straż,  
Słychać w górach już wystrzały,  
Ratuj mnie, mój koniu mały,  
Wszakże drogę dobrze znasz.  
Niechaj żyje rączy koń,  
To najlepsza nasza broń!  
*Ay, ay jaleo!* dziewczęta,  
Która kupi czarnych nici?

Kończył właśnie piosenkę, gdy uczuł, że siedzenie zachwiało się pod nim i upadł na wznak. Jakób, uwolniony od niego w ten sposób, rzucił się ku drzwiom, które się nagle otworzyły, i stanął oko w oko z bladą i skostniałą obłąkaną. Cofnął się.

— Sędzia! — powiedziała, wchodząc.  
I padła na zimną ziemię.

Jakób przeszedł już nad nią jedną nogą, lecz inna twarz ukazała się znów, sina i zdziwiona, twarz mężczyzny wysokiego wzrostu, okrytego płaszczem, z którego ociekał topniejący śnieg. Jakób cofnął się raz jeszcze i parsknął śmiechem ze zgrozy i wściekłości. Był to Laubardemont na czele zbrojnych. Spojrzeli na siebie.

— Eh, eh, przy... ja... cielu, łajdak! — rzekł Houmain, podnosząc się z trudnością. — Czy nie jesteś przypadkiem rojalistą?

Ale gdy zobaczył tych dwóch ludzi, jakby spiorunowanych przez siebie nawzajem, umilkł także, zdając sobie sprawę ze swego pijaństwa i zataczając się, podszedł do obłąkanej, aby ją podnieść, leżała bowiem wyciągnięta między sędzią a kapitanem. Pierwszy zabrał głos:

— Czy nie jesteś tym, którego ścigaliśmy przed chwilą?

— To on! — oświadczyli wszyscy zbrojni z jego orszaku jednogłośnie. — Drugi umknął.

Jakób cofnął się do rozłupanych desek, tworzących chwiejącą się ścianę chałupki, owijając się w swój płaszcz, jak niedźwiedź przyparty do drzewa przez liczną psiarnię, i chcąc odwrócić uwagę i zapewnić sobie chwilę czasu do namysłu, odparł silnym i ponurym głosem:

— Pierwszy, co przejdzie przez ten żar i ciało tej dziewczyny, padnie trupem!

I wyciągnął długi sztylet z pod swego płaszcza. W tejże chwili Houmain odwrócił głowę młodej dziewczyny, oczy jej były zamknięte. Przybliżył się do żaru, którego blask ją oświecił.

— Ach, wielki Boże! — zawołał Laubardemont zapominając się w przestachu — Joanna!

— Bądź spokojny, mon... on... signorzel! — odparł Houmain, usiłując podnieść długie, czarne jej rzęsy, które opadły, oraz głowę, co się pochyliła, jak zmęczony len. — Ba... adź spokojny, nie... e gniewaj się, ona już nie żyje, nie żyje.

Jakób postawił nogę na trupie, jak na szańcu, schylając się z dzikim śmiechem pod samą twarz Laubardemonta, rzekł do niego półgłosem:

— Pozwól mi przejść, a oszczędzę twoją godność, dworaku! Nie powiem ci, że to była twoja siostrzenica i że ja jestem twoim synem.

Laubardemont zamyślił się, spojrzał na swoich ludzi, cisnących się dokoła niego z wysuniętymi karabinami i, dając im znak, aby odstąpili na kilka kroków, odpowiedział bardzo cichym głosem:

— Wydaj mi traktat, a przejdiesz.

— Patrz, oto wisi u mego pasa, lecz jeśli go się dotkna, nazwę cię głośno moim ojcem. Cóż powie twój pan?

— Wydaj mi traktat, a przebaczę ci twoje życie.

— Pozwól mi przejść, a ja przebaczę ci, że mi je dałeś.

— Zawsze ten sam, rozbójniku?

— Tak, morderco!

— Cóż cię obchodzi pachole, co spiskuje? — powiedział sędzia.

— Cóż cię obchodzi starzec, który panuje? — odparł zapytany.

— Daj mi ten papier; przysiągłem, że będę go miał.

— Zostaw mi go, gdyż przysiągłem, że go odniosę.

— Jakaż może być twoja przysięga i jaki twój Bóg?—rzekł Laubardemont.

— A twój! — odparł Jakób, czy to krucyfiks z rozpalonego do czerwoności żelaza?

Nagle, stając między nimi Houmain, uderzył sędzię po ramieniu.

— Coś długo rozmawiasz z nim, przy... jacielu, czyżbyś go znał oddawna? To...o bardzo dobry chłopic...

— Ja! nie! — zawołał Laubardemont głośno. — nie widziałem go nigdy na oczy.

W tejże chwili Jakób, korzystając z tego, że go zasłonił pijany Houmain i z ciasnoty zastawionej izby, rzucił się gwałtownie na słabe deski, tworzące ścianę, i uderzeniem obcasa wyrzucił z nich dwie na dwór i przeszedł przez otwór, jaki utworzyły. Cała ta strona chatki została złamana, cały budynek się zachwiał, gwałtowny wiatr wpadł do jego wnętrza.

— Eh, eh! *Demonio! santo Demonio!* dokąd idziesz? — zawołał przemysłnik. — Rujnujesz mi dom! i to od strony Gavy.

Wszyscy podeszli ostrożnie, wyrwali pozostałe deski i zwiesili się nad przepaścią.

Niezwykły widok przedstawił się ich oczom. Burza była w całej swojej mocy, a była to burza Pirenejów; ogromne błyskawice ukazywały się jednocześnie z czterech stron widnokregu, a ich ognie następowały po sobie tak szybko, że nie można było zauważyć przerwy i zdawały się nieruchome i nieustanne; tylko sklepienie ogniste gasło czasami nagle, poczem wracało do stałych swoich blasków. Nie jasność zdawała się obcą tej nocy, ale ciemność. Można było powiedzieć, że na tem niebie jasnym z natury zdarzały się chwilowe zaćmienia, tak błyska-

wice były długie, a tak ich nieobecność krótka! Wydłużone cyple i ubielone skały odbijały na tem tle czerwonym, jak marmurowe łomy na kopule z gorzącej miedzi i przypominającej pośród mgły śnieżnej wybuchy wulkanu; woda tryskała jak płomień, śnieg sphywał jak oslepiająca lawa.

W ruchomej ich fali szamotał się człowiek, a jego wysiłki wpychały go coraz głębiej w płynną i wirującą bezden; nie można było widzieć jego kolan, daremnie trzymał się oburącz ogromnego i przezroczystego lodowca, co w blasku błyskawic jaśniał jak skała kryształowa; ten lodowiec topniał nawet u swej podstawy i ślizgał się wolno po pochyłości skały.

Słychać było pod obrusem ze śniegu łoskot brył granitowych, co się roztrącały, padając w niezmierne głębokości. Jednakże można było jeszcze go ocalić; przestrzeń czterech stóp oddzielała go zaledwie od Laubardemonta.

— Zapadam się!—krzyknął.—Podaj mi co, a będziesz miał traktat.

— Daj mi go; a podam ci ten muszkiet—odparł sędzia.

— Masz!—zawołał zawalidroga.—Poniewasz dyabeł sprzyja Richelieuemu.

I puściwszy jedną ręką ślizgą swoją podpórę, cisnął drewniany walec do chatki.

Laubardemont rzucił się na traktat, jak wilk na swoją zdobycz.

Napróżno Jakób wyciągał rękę; widziano go, jak zsuwał się wolno z odłamem lodu i zagłębiał cicho w śniegu.

— Ach, nędzniku! oszukałeś mnie!—krzyknął.—Lecz nie zabrano mi traktatu... ja ci go dałem... czy słyszysz... mój ojczel!

Znikł pod białą i grubą warstwą śniegu; zamiast niego, widać było już tylko ów olśniewający obrus, rozdzierany przez gasnący na nim piorun; słyszano już tylko huk grzmotów i gwizd wód, co się kręciły wirem przy skałach, gdyż ludzie skupieni dokoła trupa i złoczyńcy, w nawpół zrujnowanej izbie, milczeli, zmrożeni zgrozą, w słusznej obawie, aby Bóg nie wskazał drogi piorunom <sup>1)</sup>).

<sup>1)</sup> „Żył i umarł z rozbójnikami. Czyż to nie kara Boża w rodzinie tego sędziego dla odpokutowania do pewnego stopnia za okrutną i niełitościwą śmierć tego biednego Grandier, którego krew wola o pomstę do nieba?” (Patin, list LXV, z 22-go grudnia 1631 R. P.).

## ROZDZIAŁ XXIII.

### NIEOBECNOŚĆ.

Nieobecność jest największem złem,  
Nie dla ciebie, okrutna.

*La Fontaine.*

Któż z nas nie odczuł uroku w śledzeniu oczyma obłoków nieba? Któż nie zazdrościł im swobody, z jaką szybują w powietrzu, bądź kiedy, toczone w kłębach przez wiatr i zabarwione przez słońce, posuwają się wolno, jak flota, złożona z posępnych okrętów, o złożonym przodzie; bądź kiedy, rozsiane w lekkich grupach, suną z szybkością, wysmukłe i wydłużone, jak ptaki w przelocie, przezroczyste, jak ogromne opale, odłączone od skarbu niebios, lub olśniewające białością, jak śniegi gór, które wiatr unosi na swoich skrzydłach?

Człowiek jest powolnym wędrowcem, co zazdrości tym rączym podróżnym, jednak mniej chyżym, niż jego wyobraźnia; widzieli oni przecież w ciągu jednego dnia wszystkie miejsca przez niego ukochane z powodu wspomnień lub nadziei, te, co były świadkami jego szczęścia lub jego cierpień, i te kraje tak

piękne a nieznane, gdzie się spodziewamy znaleźć wszystko zarazem.

Niema ani jednego zakątka na ziemi bezwątpienia, ani jednej dzikiej skały, niepłodnej równiny. Kiedy przechodzimy z obojętnością, co nie były drogą w życiu jakiegoś człowieka i nie odmalowały się w jego wspomnieniach, gdyż podobni do zdruzgotanych okrętów, zanim ulegniemy niechybnemu rozbiciu, pozostawiamy szczątki z siebie samych na wszystkich skałach morza.

Dokąd idą niebieskie i ciemne chmury owej burzy Pirenejów? To wiatr afrykański pędzi je przed sobą płomiennym swym oddechem; i lecą, toczą się, grzmiąc na siebie same, rzucają za siebie błyskawice, niby swoje pochodnie, ciągnąc za sobą długi ślad deszczu, jak ogon sukni, z mgieł! Uwolniwszy się z wysiłkiem ze skalistych wąwozów, które zatrzymały je na chwilę w biegu, zraszają one, w Béarnie malownicze dziedzictwo Henryka IV; w Guiennie — zabory Karola VII; w Saintonge — Poitou, Turenję, zdobycze Karola V i Filipa-Augusta, i słabnąc w końcu ponad dziedzictwem Hugona Kapeta, zatrzymują się, pomrukując, na wieżach Saint-Germain.

— Oh, pani! — mówiła Marya Mantuańska do królowej. — Czy widzisz, jaka burza nadciąga z południa?

— Często patrzysz w tę stronę, moja droga! — odparła Anna Austryacka, oparta na balkonie.

— To strona słońca, pani.

— I burz — powiedziała królowa — jak widzisz. Wierz na moją przyjaźń, moje dziecię, te chmury nie mogły widzieć nic pomyślnego dla ciebie. Wolalbym, abyś zwróciła oczy w stronę Polski. Patrz, moje dziecię, nad jakim pięknym narodem mogłabyś władać.

W tejże chwili, aby uniknąć deszczu, który za-

czywał padać, księżę wojewoda przechodził szybko pod oknami królowej z licznym orszakiem, złożonym z młodych Polaków na koniach; tureckie ich kaftany, pokryte guzami z dyamentów, szmaragdów i rubinów, ich płaszcze z zielonego i szarego lnu, wysokie pióra ich rumaków, oraz buńczuczna ich miasa, wszystko to sprawiało, że jaśnieli szczególnym blaskiem, do którego dwór przyzwyczaił się dość łatwo.

Zatrzymali się na chwilę, a księżę uklonił się dwukrotnie, podczas gdy lekki jego rumak postępował bokiem, zwracając ciągle przód w stronę księżniczek; stając dęba i rżąc, wstrząsał swoją grzywą i zdawał się kłaniać, wsadzając łeb między nogi; cały orszak powtórzył tę samą ewolucję.

Księżniczka Marya cofnęła się zrazu z obawy, aby nie zauważono łez w jej oczach, ale ten świetny i pochlebny widok sprawił, że wróciła na balkon i nie mogła się wstrzymać, aby nie zawołać:

— Z jakimż wdziękiem wojewoda dosiada tego ślicznego rumaka! Zdaje się nie myśleć o tem.

Królowa się uśmiechnęła.

— Myśli on o tej, co zostałaaby jutro jego królową, gdyby chciała dać znak głową i rzucić na tron Polski jedno spojrzenie wielkimi czarnymi swojemi oczyma, zamiast przyjmować zawsze tych biednych cudzoziemców z zadąsaną i skrzywioną minką, jak naprzykład teraz.

Anna Austryacka, mówiąc to, uderzyła ją lekko wachlarzem; Marya nie mogła także wstrzymać się od uśmiechu; lecz natychmiast schyliła głowę, wyrzucając go sobie, i zebrała myśli, aby odzyskać swój smutek, który zaczynał ją opuszczać. Musiała nawet wpatrzeć się jeszcze w wielkie chmury, co przeciągały nad zamkiem.

— Biedne dziecię — mówiła dalej królowa — rozbisz wszystko, co możesz, aby zostać wierną i do-



brze się utrzymać w melancholii swego romansu; krzywdę sobie wyrządzasz, nie sypiając już, aby płakać, i przestając jeść przy stole; spędzasz noce na marzeniach lub na pisanii; lecz ostrzegam cię, że nie dopniesz niczego, chyba tylko, że schudniesz, zbrzydniesz i nie zostaniesz królową. Twój Cinq-Mars jest małym zarozumiałcem, który się zgubił.

Widząc, że Marya zastoniła licia swoje chustką, aby jeszcze płakać, Anna Austriacka weszła na chwilę do swej komnaty, zostawiając ją na balkonie i udała, że zajęta się szukaniem klejnotów w swojej toalecie; wkrótce wróciła wolno i poważnie do okna.

Marya była spokojniejsza i patrzyła smutnie na pola, wzgórza na widnokręgu i na rozszerzającą się potroszę burzę.

Królowa rzekła znów poważniejszym tonem:

— Bóg okazał więcej dobroci dla ciebie, niżli twoja nieroztropność może na to zasługiwała, Maryo; ocalił cię od wielkiego niebezpieczeństwa; chciałaś dokonać wielkich poświęceń, lecz na szczęście, nie spełniły się one tak, jak sądziłaś. Niewinność ocaliła cię od miłości; podobna jesteś do osoby, która sądząc, że zażywa śmiertelnej trucizny, napiłaby się czystej i niegrożącej niebezpieczeństwem wody.

— Niestety! pani, co chcesz mi przez to powiedzieć? Czyż nie jestem dosyć nieszczęśliwa?

— Nie przerywaj mi—rzekła królowa;—innemi oczyma zobaczysz obecne swoje położenie: Nie chcę bynajmniej oskarżać ciebie o niewdzięczność dla kardynała; za wiele mam powodów, aby go nie lubić; ja sama byłam przytomna związaniu się sprzysiężenia. Jednakże mogłabyś, moja droga, przypomnieć sobie, iż on jeden, wbrew zdaniu królowej-matki i dworu, chciał wojny o księstwo Mantuańskie, które odebrał cesarstwu i oddał księciu de Nevers, twojemu ojcu; tu, w tym samym zamku Saint-Nevers, został podpi-

sany traktat, obalający księcia de Guastella<sup>1)</sup>. Byłaś wtedy bardzo młoda... Musiano ci o tem jednakże powiedzieć. Oto zaś, z miłości jedynie (chcę temu wierzyć, jak ty) dwudziestodwuletni młodzieniec gotów jest kazać go zamordować...

— Oh! pani, on do tego nie jest zdolny. Przyśięgam ci, że nie zgodził się na to...

— Prosiłam cię, Maryo, abyś mi pozwoliła mówić. Wiem, że jest szlachetny i prawy; chcę wierzyć, że wbrew zwyczajom naszego czasu, ma dosyć umiarkowania, aby nie posunąć się do tego i zabić go z zimną krwią, jak kawaler de Guise zabił starego barona de Luz, na ulicy. Ale czy będzie on w stanie zapobiedz temu, jeśli każe go wziąć otwarcie siłą? O tem nie możemy wiedzieć więcej od niego! Przyszłość wiadoma tylko Bogu. Czy przynajmniej jest on pewny, że dla ciebie uderza na niego i, aby go obalić, przygotowuje wojnę domową, która wybuch może w chwili, gdy mówimy, wojnę bez wygranej! Jakikolwiek weźmie ona obrót, nie może mu się powieść, gdyż brat królewski ma się wycofać ze spisku.

— Jaktó! pani...

— Słuchaj mnie, powtarzam ci, jestem tego pewna, nie mam potrzeby tłumaczyć ci więcej. Co zrobi wielki koniuszy? Król dobrze go osądził, udał się po radę do kardynała. Radzić go się, to znaczy mu ustąpić; lecz traktat hiszpański został podpisany: jeśli zostanie odkryty, co uczyni sam imćpan de Cinq-Mars? Nie drżj tak, my go ocalimy, przyrzekam ci to; czas jeszcze po temu... mam nadzieję...

— Ah! pani! masz nadzieję! jeste zgubiona! — zawołała Marya osłabiona i nawpół męcząc.

— Siadajmy—powiedziała królowa.

I zajmą miejsce koło Maryi przy wejściu do komnaty, mówiła dalej:

— Bez wątpienia brat królewski będzie prowadził układy w imieniu wszystkich sprzysiężonych, układając się w swoim, ale wygnanie będzie dla nich najmniejszą karą, wygnanie wieczne. Oto zaś księżniczka Neverska i Mantuańska, księżniczka Marya Gonzaga, żona imcipana Henryka d'Effiat, margrabiego de Cinq-Mars, wywołanego z kraju!

— A więc, panie pójdę za nim na wygnanie: to mój obowiązek, jestem jego żoną!...—zawołała Marya, łkając; — chciałam już wiedzieć, że się tam znajduje w niebezpieczeństwie.

— Marzenia osiemnastoletniej panienki!—powiedziała królowa, podtrzymując Maryę. — Zbudź się, dziecko, zbudź, to konieczne; nie chcę zaprzeczać żadnej z zalet imcipana de Cinq-Mars. To człowiek z wielkim charakterem, z wielkim umysłem, z wielką odwagą; lecz nie może być już dla ciebie niczem i, na szczęście, nie jesteś ani jego żoną, ani nawet jego narzeczoną.

— Należę do niego, pani, do niego jednego...

— Ale bez błogosławieństwa — odparła Anna Austriacka — bez ślubu wreszcie; żaden kapłan nie śmiałyby go udzielić; nawet wasz nie uczynił tego i powiedział mi o tem. Zamilez—dodała, kładąc swe piękne obie ręce na ustach Maryi—zamilez! Powiesz mi, że Bóg słyszał wasze przysięgi, że ty nie możesz żyć bez niego, że wasze losy są nierozłączne, że tylko śmierć może rozerwać wasz związek: to słowa zwykłe w twoim wieku, rozkoszne urojenia chwili i kiedyś będziesz się z nich śmiała, szczęśliwa, że niezmuszona opłakiwać ich całe życie. Ze wszystkich tych pięknych młodych kobiet, które widzisz koło mnie na dworze, niema ani jednej, któraby nie

miała w twoim wieku jakiegoś pięknego snu miłosnego, jak twój, któraby nie stworzyła sobie owych więzów, uważanych za nierozzerwalne, i nie uczyniła w tajemnicy przysięg, mających trwać wiecznie. Tymczasem te sny zostały rozwiane, te węzły zerwane, te przysięgi zapomniane; a jednak widzisz, że są one szczęśliwymi kobietami i matkami, otoczone zaszczytami swego stanowiska; przychodzą śmiać się i tańczyć co wieczór... Zgaduję, co chcesz powiedzieć mi jeszcze... One nie kochały tak, jak ty, nieprawdaż? Otóż mylisz się, moje dziecko; one kochały tak samo i nie mniej płakały. Lecz tu właśnie muszę ci dać poznać wielką tajemnicę, powodującą twoją rozpacz, bo nie znasz choroby, która cię trawi. Nasze istnienie jest podwójne, moja przyjaciółko: nasze życie wewnętrzne, życie naszych uczuć, dręczy nas gwałtownie, podczas gdy życie zewnętrzne panuje nad nami, wbrew naszej woli. Nie jest się nigdy niezależną od ludzi, a zwłaszcza w wysokim stanie. W samotności każda z nas mniema się panią swego iosu; ale widok nadchodzących niespodziewanie trzech osób oddaje nam wszystkie nasze łańcuchy, przypominając nam o naszej godności i otoczeniu. Co mówię? zamknij się i oddaj wszystkiemu temu, co namiętności każą ci tworzyć z odważnych i nadzwyczajnych postanowień, co ci podsuną z zadziwiających poświęceń, wystarczy jeden lokaj, wchodzący z zapytaniem o twoje rozkazy, aby znikł urok i przypomniąc ci się rzeczywiste twoje istnienie. Ta oto walka między twymi zamiarami, a twojem położeniem zabija ciebie; masz do siebie urazę w głębi serca, czynisz sobie gorzkie wyrzuty.

Maryja odwróciła głowę.

— Tak, sądzisz, że jesteś bardzo występna. Przebac sobie, Maryo: wszyscy ludzie są istotami

tak dalece względni i zależni jedne od drugich, że nie wiem, czy wielkie ustronia świata, jakie widujemy niekiedy, nie są porobione dla świata samego: rozpacz ma swą przysadę, a samotność swoją zalotność. Utrzymują, że najposępniejsi mnisi nie mogli się powstrzymać od dowiedzenia, co o nich mówiono. Ta potrzeba opinii powszechnej jest dobrem dlatego, że zwalcza prawie zawsze zwycięsko to, co nie zna humleca w naszej wyobraźni i przychodzi z pomocą obowiązkom, o których zapomina się zbyt łatwo. Doznaje się, uczujesz to, mam nadzieję, odzyskując swój los taki, jakim być powinien, po poświęceniu tego, co odwracało od rozsądku, zadowolenia wyznańca, który wraca do swej rodziny, chorego, który widzi znów dzień i słońce po nocy, pełnej męczących widziadeł. Właśnie to uczucie istoty wróconej, że się tak wyrazimy, do jej stanu naturalnego, daje spokój, jaki widzisz w wielu oczach, które także przelewały łzy. Sądziś, że złamałabyś wiarę, wyrzekając się Cinq-Marsa? Ale nie cię nie wiąże, ty mu się więcej niż odwdzięczyłaś, odrzucając w ciągu przeszło dwóch lat ofiarowywane ci przez królów korony. Eh! cóż zresztą zrobił ten kochanek tak namiętny? Wzniósł się, aby cię osiągnąć; ale czyż ambicya, którą, zdaje ci się, wsparta tu miłość, nie mogła oprzeć się na niej? Ten młodzieniec zdaje mi się bardzo głębokim, bardzo spokojnym w politycznych swoich postępkach, bardzo niezależnym w wielkich swoich postanowieniach, w potwornych swoich zamachach, abym wierzyła, iż jest zajęty wyłącznie swoją czułością. A gdybyś ty była tylko środkiem, zamiast celem, cóżbyś powiedziała?

— Kochałabym go jeszcze — odparła Marya. — Dopóki życia jego, będę należała do niego, pani.

— Lecz dopóki ja będę żyła — powiedziała królowa z mocą — oprę się temu.

Przy tych ostatnich słowach deszcz z gradem zaczął gwałtownie padać na balkon; królowa skorzystała z tego, aby opuścić nagle swoje miejsce przy drzwiach i wrócić na pokoje, gdzie księżna de Chevreuse, Mazarin, pani de Guéménée i książę wojewoda czekali od niedawna.

Królowa wyszła na ich spotkanie. Marya stanęła w cieniu przy kotarze, aby nie widziano czerności jej oczów. Nie chciała wcale zrazu mieszać się do rozmowy zbyt krotofilnej; jednakże kilka wyrazów sięgnęło jej uwagi. Królowa pokazywała księżnej de Guéménée dyamenty, otrzymane dopiero co z Paryża.

— Ta korona nie należy do mnie, król chciał kazać ją przygotować dla przyszłej królowej polskiej; nie wiadomo, kto to będzie.

Potem, zwracając się do księcia wojewody, rzekła:

— Widziałyśmy, jak przejeżdżałeś, książę; dokąd to jechałeś?

— Do księżniczki de Rohan — odparł Polak.

Zręczny Mazarin, który ze wszystkiego korzystał, aby odgadnąć tajemnice i stać się niezbędnym przez zdobyte podstępnie zwierzchności, rzekł, zbliżając się do królowej:

— To przyszło w samą porę, gdyśmy rozmawiali o koronie polskiej.

Marya, nie mogąc znieść tego odezwania się wobec siebie, powiedziała do pani de Guéménée, siedzącej obok:

— Czyż to imépan de Chabot jest królem polskim?

Królowa usłyszała te słowa i ucieszyła się z tego lekkiego dotknięcia dumy. Aby rozwinąć ten zarodek, udała, że zwraca przychylną uwagę na rozmo-

wę, jaka nastąpiła, a którą ona popierała. Księżna de Guéménée wykrzyknęła:

— Czyż można zrozumieć podobne małżeństwo? Nie można go jej wybić z głowy. Wreszcie, ta sama panna de Rohan, którą widzieliśmy tak dumną, odmówiwszy swej ręki hrabiemu de Soissons, księciu Wejmarskiemu i księciu Nemourskiemu, zaślubia prostego szlachcica! litość bierze, doprawdy! Dokądże dążymy? Nie wiadomo, co z tego wyniknie.

Mazarin dodał tonem dwuznacznym:

— Ejże! czy to istotna prawda? kochać! na dworzel miłość prawdziwa, głęboka! czyż można dać temu wiare?

Podczas tego, królowa, bawiąc się, otwierała i zamykała w dalszym ciągu nową koronę.

— Dyamenty wydają się dobrze tylko na czarnych włosach—rzekła;—zobaczmy, daj swoje czoło, Maryo!..

— Ależ ona wygląda zachwycająco! — mówiła dalej.

— Moznaby sądzić, że została zrobiona dla księżnej pani—powiedział kardynał.

— Dałbym wszystką swoją krew, aby pozostała na tem czole!—dodał książe wojewoda.

Marya pozwoliła widzieć poprzez łyzy, które miała jeszcze na policzkach, dziecinny i mimowolny uśmiech, jak promień słońca poprzez deszcz; potem nagle zarumieniwszy się nadzwyczajnie, uciekła, biegnąc na swe pokoje.

Powstał śmiech, królowa powiodła za nią oczyma, uśmiechnęła się, dała swą rękę do pocałowania polskiemu posłowi i oddaliła się, aby napisać list.

## ROZDZIAŁ XXIV.

### PRACA.

Ludzie biedni i pomniejsi powinni mieć mało nadziei w sprawach tego świata, gdy tak wielki król tyle cierpiał i tak wiele pracował.

*Filip de Comines.*

Jednego wieczora, pod Perpignanem, zdarzyła się rzecz niezwykła. Była godzina dziesiąta i wszystko spało. Powolne i prawie zawieszzone działania oblężenia wprawiły w odrętwienie i obóz i miasto. U Hiszpanów zajmowano się mało Francuzami; wszystkie połączenia z Katalonią były wolne, jak w czasie pokoju, a w wojsku francuskim wszystkie umysły były dręczone przez ów tajemny niepokój, zwiastujący wielkie wypadki. Jednakże wszystko było spokojne napozór; słyszano tylko odgłos miarowych kroków szyldwachów. Pośród ciemnej nocy widać było tylko czerwone światelko dymiącego zawsze lontu ich strzelb, gdy nagle trąby muszkietarów, szwoleżerów i ciężko uzbrojonych zagrały jednocześnie pobudkę do siodłania i na koń. Wszystkie warty nawoływały pod broń

i widziano sierżantów bojowych, niosących pochodnie, jak chodzili od namiotu do namiotu, z długą dzidą w rękę, aby zbudzić żołnierzy, ustawić ich w rzędy i policzyć. Długie plutony maszerowały w ponurem milczeniu, krążyły po ulicach obozu i zajmowały swe bojowe stanowiska. Słychać było uderzenia ciężkich butów i tentent kłusa szwadronów, zwiastujący, że jazda czyniła te same porządki.

Po półgodzinnym ruchu wrzawa ustała, pochodnie zgasły i wszystko wróciło do ciszy; ale wojsko było już na nogach.

Płonące wewnątrz pochodnie sprawiały, że jeden z ostatnich namiotów obozu jaśniał jak gwiazda; odróżniano za zbliżeniem się tę małą piramidę, białą i przezroczystą; na jej płótnie rysowały się dwa cienie, chodzące tam i napowrót. Na dworze czekało wielu konnych; wewnątrz namiotu byli de Thou i Cinq-Mars.

Ktoby ujrzał pobożnego i mądrego de Thou o tej godzinie na nogach i w zbroi, wziąłby go za jednego z dowódców buntu. Lecz przypatrując się bardziej zbliżka jego surowej postawie i smutnym spojrzeniom, zrozumianoby wkrótce, że go potępiał i pozwalał się do niego wciągnąć i narazić przez nadzwyczajne postanowienie, które mu pomagało do przewyciężenia wstrętu, jaki miał do przedsięwzięcia w niem samem. Od dnia, kiedy Henryk d'Effiat otworzył mu swoje serce i powierzył całą tajemnicę, zobaczył jasno, że wszelkie przedstawienia były daremne wobec tak silnego postanowienia młodzieńca. Zrozumiał nawet więcej, niż mu imć pan de Cinq-Mars powiedział, widział w tajemnym związku swego przyjaciela z księżniczką Maryą jeden z owych węzłów miłości, których częste i tajemnicze błędy, rozkoszne i mimowolne zaniedbania, nie mogą być zbyt wczesnie oczyszczone przez publiczne błogostawieństwo. Zrozu-

miął, że ta męka była niemożliwa do znoszenia dłużej przez kochanka, ubóstwianego pana tej młodej osoby, gdyż każdego dnia był on skazany na stawanie przed nią jak obcy i na otrzymywanie politycznych zwierzeń co do małżeństwa, jakie dla niej przygotowywano. W dniu, kiedy otrzymał jego całe wyznanie, próbował wszelkich sposobów, aby powstrzymać Cinq-Marsa od uciekania się w jego zamiarach do związku z zagranicą. Przywoływał największe wspomnienia i najlepsze uczucia z tym jeno skutkiem, że czynił jeszcze twardszem względem siebie niezwycone postanowienie swojego przyjaciela. Cinq-Mars, jak sobie przypominają czytelnicy, powiedział do niego ostro:—Ech, czyż cię prosiłem, abys wziął udział w sprzysiężeniu? on zaś nie chciał więcej przyrzec nad to, że go nie wyda i zebrał wszystkie swoje siły przeciwko przyjaźni, aby powiedzieć:—Nie spodziewaj się niczego więcej z mojej strony, jeśli podpiszesz ten traktat. Jednakże Cinq-Mars podpisał traktat, a de Thou był jeszcze tutaj, przy nim.

Zwyczaj poufatego rozprawiania o zamiarach jego przyjaciela uczynił mu je może mniej wstrętnemi; jego pogarda dla występków księcia - kardynała, jego oburzenie na poddaństwo parlamentów, z którymi była związana jego rodzina i na przekupstwo sprawiedliwości; potężne imiona, a zwłaszcza szlachetne charakterystyki osób, stojących na czele zamachu, wszystko przyczyniło się do złagodzenia jego pierwszego i bolesnego wrażenia. Przyrzekłszy raz tajemnicę imci panu de Cinq-Mars, uważał, że mógł przyjmować szczegółowo wszystkie zwierzenia drugorzędne; i od czasu przypadkowego zdarzenia, które go naraziło u Marion de Lorme pomiędzy spiskowcami, uważał siebie za związanego z nimi honorem i zniewolonego do niezgwałconego milczenia. Od tego czasu widział brata królewskiego, księcia de Bouillon i Fontrailles'a; przy-

zwyczajili się oni rozmawiać przy nim bez obawy, on zaś słuchać ich bez gniewu. Teraz niebezpieczeństwa jego przyjaciela wciągały go w ich odmet, jak nieodporny magnes. Cierpiał w swoim sumieniu; lecz towarzyszył Cinq-Marsowi wszędzie, dokąd szedł, nie chcąc, przez nadmierną delikatność, wystąpić od-tąd choćby z jedną uwagą, któraby mogła wyglądać na osobistą obawę. Dał swoje życie w milezeniu i uważałby za niegodne ich obu nawet okazać, że chciałby je odebrać.

Wielki koniuszy był okryty pancerzem, uzbrojony i miał wysokie buty. Ogromny pistolet leżał na stole między dwiema pochodniami, z zapalonym lontem; ciężki zegar w miedzianem pudełku tuż przed pistoletem.

De Thou, w czarnym płaszczu, stał nieruchomo, ze złożonemi na krzyż rękoma; Cinq - Mars przechadzał się, trzymając z tyłu ręce, patrząc od czasu do czasu na wskazówkę, zbyt powolną, według niego; odchylił zasłonę namiotu i spojrzął na niebo, poczem wrócił.

— Nie widzę w górze swojej gwiazdy—rzekł—lecz mniejsza o to! ona tu, w mojem sercu.

— Czas pochmurny—odparł de Thou.

— Powiedz, że czas się posuwa. Idzie, mój przyjacielu, idzie; jeszcze dwadzieścia minut, a wszystko będzie skończone. Wojsko czeka na wystrzał pistoletowy, aby zacząć.

De Thou trzymał w ręce krucyfiks z kości słoniowej i podnosił swój wzrok to na krzyż, to na niebo.

— Oto godzina—mówił—spełnienia ofiary; nie żałuję, lecz ileż kielich grzechu ma goryczy dla mo-wałem poświęcić dni swoje niewin-ności i pracy umysłowej, a dziś oto jestem gotów po-pełnić zbrodnię i pochwycić za szpadę.

Lecz biorąc z siłą rękę Cinq-Marsa:

— To dla ciebie, to dla ciebie — dodał z unie-sieniem oddanego ślepo serca;—winszuję sobie omy-łek, jeśli one obracają się na twoją chwałę, widzę tylko twoje szczęście w moim błędzie. Przebacz mi chwilę powrotu do zwykłych pojęć całego mego życia.

Cinq-Mars patrzył na niego ciągle, a iza płynę-ła wolno po jego policzku.

— Cnotliwy przyjacielu — rzekł — niech twoja wina spadnie tylko na moją głowę! Lecz miejmy nadzieję, że Bóg, który przebacza wszystkim kocha-jącym, będzie z nami, gdyż popełniamy zbrodnię, ja przez miłość, ty przez bojaźń.

Ale nagle, spojrzawszy na zegar, wziął długi pistolet w swoje ręce i wpatrzył się ze srogą miną w dymiący lont. Długie włosy spadały na jego lica, jak grzywa młodego lwa.

— Nie wypal się — zawołał — pal się powolil Ty wzniecisz pożar, jakiego nie mogłyby zagasić wszystkie fale oceanu! Płomień oświeci wkrótce po-łowę świata i może sięgnie aż do podstaw tronów. Pal się wolno, drogocenny płomieniu, wichry, co będą to-bą miotały, są gwałtowne i straszne: miłość i niena-wiść! Zachowaj się, twój wybuch rozlegnie się dale-ko i znajdzie odgłos w chatce ubogiego i w pałacu króla. Pal się, pal, słaby płomieniu, tyś dla mnie berłem i piorunem!

De Thou, trzymając ciągle krzyżek z kości sło-niowej, mówił cichym głosem:

— Panie, przebacz nam krew, która zostanie przelaną; będziemy walczyli ze złym i bezbożnym!

Poczem, podnosząc głos:

— Mój przyjacielu, sprawa cnoty odniesie try-umf—rzekł — będzie tryumfowała sama. To Bóg po-zwolił, ażeby występny traktat nie doszedł do nas; to,

co było zbrodnią, zostało niewątpliwie zniszczone; będziemy walczyli bez obcych, a może nawet nie będziemy walczyli; Bóg odmieni serce króla.

— Nadeszła godzina, nadeszła godzina! — zawołał Cinq - Mars, z oczami utkwionymi w zegar, z rodzajem radosnej wściekłości: jeszcze kilka minut, a kardynałsi w obozie zostaną zgniecieni; pójdziemy na Narbonne, on jest tam... Daj ten pistolet.

Przy tych słowach otworzył szybko swój namiot i wziął lont pistoletu.

— Goniec z Paryża, goniec dworski! — zawołał głos z zewnątrz.

I jakiś człowiek, okryty potem, dysząc ze zmęczenia, zeskoczył z konia, wszedł i wręczył mały list Cinq-Marsowi.

— Od królowej, jasnie oświecony panie! — powiedział.

Cinq-Mars zbladł i przeczytał:

„Mości panie margrabio de Cinq-Mars.

„Piszę do ciebie ten list, aby cię błagać i prosić o zwrócenie na drogę obowiązku naszej ukochanej przybranej córki i przyjaciółki, księżniczki Maryi Gonzagi, którą twój afekt jedynie odwraca od ofiarowanego jej królestwa polskiego. Badałam jej duszę; jest ona jeszcze bardzo młoda, i mam powód sądzić, że przyjęłaby koronę z mniejszem przemożeniem siebie i boleścią, aniżeli może przypuszczasz.

„Dla niej to przedsięwzięłaś wojnę, która wyda na pastwę ognia i zbroczy krwią mój piękny i drogi kraj francuski; zaklinam cię i błagam, abyś postąpił jak przystoi szlachcicowi, i uwolnił szlachetnie księżniczkę Mantuańską od obietnic, jakie ci mogła poczynić. Wróć tym sposobem spokój jej duszy i pokój naszej drogiej ojczyźnie.

„Królowa, upadająca do twoich stóp, jeśli tego żądasz.

„Anna”.

Cinq-Mars odłożył spokojnie pistolet na stół; pierwszy jego ruch zwrócił lufę przeciwko niemu samemu; odłożył go jednak i chwytając szybko ołówek, napisał na odwrotnej stronie tego samego listu:

„Pani!

„Ponieważ Marya Gonzaga jest moją żoną, nie może więc zostać królową Polski, chyba po mojej śmierci; umieram.

„Cinq-Mars”.

I jakby nie chciał zostawić sobie ani chwili do namysłu, wciskając gwałtem ów list w rękę gońca:

— Na koń! na koń! — zawołał na niego z wściekłością — jeśli zatrzymasz się jedną chwilę dłużej, padniesz trupem!

Goniec ruszył cwałem i pomknął jak strzała. Cinq-Mars wrócił do namiotu.

Stanąwszy przed swym przyjacielem, zatrzymał się na chwilę, błądy, osłupiały i wpatrzony w ziemię, jak obłąkaniec. Uczuł, że nogi zachwiały się pod nim.

— De Thou! — zawołał.

— Czego chcesz, przyjacielu, drogi przyjacielu? jestem przy tobie. Stałeś się wielkim, bardzo wielkim! wzniosłym!

— De Thou! — krzyknął znów przytłumionym głosem.

I padł twarzą na ziemię, jak pada drzewo, wyrwane z korzeniem.

Wielkie burze przybierają rozmaite postacie, według klimatu, w jakim powstają; te, co zajmowały wielkie obszary w krajach północy, zbierają się, mó-

wią, w jedną tylko chmurę pod strefą gorącą, tem straszniejsze, że pozostawiają na widnokręgu całą jego czystość i że rozszalałe bałwany odbijają jeszcze lazur nieba, zabarwiając się krwią człowieka. Tak samo z wielkimi namiętnościami: przybierają niezwykłą postać, stosownie do naszych charakterów; lecz jakże są straszne w sercach silnych, przechowujących swoją moc pod osłoną form towarzyskich! Gdy młodość i rozpacz się złączą, nie można przewidzieć, do jakiego dojdą szalu, lub jaka będzie ich nagła rezygnacja; nie wiadomo, czy wulkan rozsądzi górę, czy też zagaśnie naraz wewnątrz ziemi.

De Thou przerażony podniósł swego przyjaciela, krew sączyła się z jego nozdrzy i uszów; byłby go wziął za umarłego, gdyby potoki łez nie płynęły mu z oczów; był to jedyny znak jego życia; lecz nagle otworzył powieki, spojrzał wokoło siebie i przy nadzwyczajnej sile głowy wrócił do zupełnej przytomności i potęgi swojej woli.

— Tam ludzie czekają na mnie, rzekł — trzeba z nimi skończyć. — Mój przyjacielu, już w pół do dwunastej; godzina hasła przeszła; daj za mnie rozkaz, aby wrócono do namiotów; był to udany popłoch, który wytlómaczę dziś wieczorem.

De Thou czuł już ważność tego rozkazu; wyszedł i wrócił natychmiast; zastał Cinq-Marsa siedzącego spokojnie i usiłującego zetrzeć krew ze swojej twarzy.

— De Thou — rzekł, wpatrując się w niego — odejdz, przeszkadzasz mi.

— Nie opuszczę cię — odparł tenże.

— Mówię ci, uciekaj, Pireneje niedaleko. Nie umiem już długo przemawiać, nawet do ciebie; lecz jeśli zostaniesz ze mną, umrzesz, ostrzegam cię.

— Zostanę — powiedział znów de Thou.

— Niech cię Bóg ochrania tedy! — zawołał Cinq-

Mars — gdyż ja nie będę tu mógł nic uczynić odtąd. Pozostawiam cię tutaj. Przywołaj Fontrailles'a i wszystkich spiskowców, rozdaj im te pasporty, niech uciekają natychmiast; powiedz im, że wszystko upadło i że im dziękuję. Co do ciebie, jeszcze raz jedź z nimi, proszę cię o to; ale cokolwiek uczynisz, na twoje życie, nie idź za mną. Przysięgam ci, że sam na swoje się nie targnę!

Przy tych słowach, uściskawszy rękę przyjaciela, nie patrząc na niego, wybiegł nagle z namiotu.

Tymczasem o kilka mil dalej prowadzono inne rozmowy. W Narbonne, w tym samym gabinecie, w którym widzieliśmy niegdyś Richelieugo, załatwiającego z Józefem sprawy państwa, siedzieli znów tych dwóch ludzi, prawie tych samych; minister jednak, bardzo postarzały przez trzy lata cierpień, a kapucyn tak przerażony wynikiem swoich podróży, jak jego pan był spokojny.

Kardynał, siedząc na kanapie o jednej pobocznej ścianie, z nogami ściśniętymi i opasanymi ciepłą i podbitą futrem tkaniną, trzymał na kolanach trzy młode koty, co się tarzały i przewracały na jego czerwonej sukni; od czasu do czasu brał jednego z nich i kładł na drugiego, aby przedłużyć ich igraszki; śmiał się, patrząc na nie; u jego nóg leżała ich matka, jak ogromny zarękawek i żyjące futro.

Józef, siedząc przy nim, opowiadał o tem wszystkim, co usłyszał w konfesjonale; blednąc jeszcze na samą myśl o niebezpieczeństwie, które mu groziło odkryciem lub śmiercią z ręki Jakóba, zakończył temi słowami:

— Wreszcie, jasnie oświecony panie, nie mogę się wstrzymać, aby nie być zaniepokojonym aż do głębi serca, gdy sobie przypomnę o niebezpieczeństwach, jakie groziły i grożą jeszcze waszej przewielebności. Zbójcy ofiarowywali się, aby cię zasztyle-



tować; widzę we Francyi zbuntowany przeciw tobie cały dwór, połowę wojska i dwie prowincye; za granicą Hiszpanię i Austryę, gotowe dostarczyć wojsk; wszędzie zasadzki lub bitwy, sztylety lub armaty!...

Kardynał ziewnął trzykrotnie, nie zaprzestając swojej zabawy, i rzekł:

— Kot to bardzo ładne zwierzę! to salonowy tygrys: jaka zwinność, jaka przebiegłość nadzwyczajna! Patrz na tego żółtego kotka, jak udaje, że śpi, aby ten drugi w paski nie zwracał nań uwagi i zajął się jego braciszkiem; a ten, jak go szarpie! Patrz, jak zagłębia mu w bok swoje pazury! Zabiłby go z pewnością, pożarłby go, gdyby był silniejszy! To bardzo zabawne, jakie ładne zwierzęta!

Tu porwał go kaszel i dosyć długie kichanie, poczem rzekł dalej:

— Mości Józefie, mówiłem ci, abys nie rozmawiał ze mną o interesach, dopóki nie zjem wieczery; teraz jestem głodny, to nie moja godzina; mój lekarz Chicot zalecił mi regularność, odczuwam ból w boku. Oto jak spędzę dzisiejszy wieczór — dodał, patrząc na zegar: — o dziewiątej, załatwimy sprawy imcipana le Grand; o dziesiątej, każę się obnieść naokoło ogrodu dla zaczerpnięcia powietrza przy blasku księżycy; następnie będę spał godzinę lub dwie; o północy przyjedzie król, a o czwartej będziesz mógł przyjść po rozkazy aresztowań, wymierzenia kar i inne, jakie ci wydam dla prowincyi, Paryża lub wojsk jego królewskiej mości.

Richelieu powiedział to wszystko z tem samym brzmieniem głosu i jednostajną wymową, zmienioną tylko przez osłabienie piersi i utratę wielu zębów.

Była siódma wieczorem; kapucyn wyszedł. Kardynał spożył wieczery z największym spokojem i gdy zegar na wieży wybił wpół do dziewiątej, kazał przy-

wołać Józefa, a kiedy ten usiadł przy stole, rzekł do niego:

— Oto wszystko, co mogli zrobić przeciwko mnie w przeciągu przeszło dwóch lat! Biedni ludzie, doprawdy! Nawet księżę de Bouillon, którego uważałem za dosyć zdolnego, zgubił się zupełnie w moich oczach przez ten postępki; śledziłem go baczenie i zapytuję cię, czy zrobił on jeden krok godny męża stanu? Król, brat królewski i wszyscy inni podnieśli tylko razem przeciwko mnie głowę i nie zabrali mi nawet jednego człowieka. Tylko ten mały Cinq-Mars umiał postępować konsekwentnie; wszystko, co uczynił, było przeprowadzone w sposób zadziwiający; trzeba mu oddać sprawiedliwość, miał on zdolności; byłbym z niego zrobił swego ucznia, gdyby nie brak giętkości w jego charakterze; lecz wystąpił otwarcie przeciwko mnie, gniewam się bardzo na niego za to. Pozwoliłem im wszystkim pływać dłużej niż dwa lata na pełnej wodzie; teraz ciągnijmy sieć!

— Już czas, jasnie oświecony panie — powiedział Józef, który mówiąc często drżał mimowoli — czy wiesz, że z Perpignanu do Narbonne droga krótka? czy wiesz, że chociaż tutaj masz armię silną, twoje wojsko w obozie jest słabe i niepewne? że ta młoda szlachta jest wściekła i że na królu polegać nie można?

Kardynał spojrział na zegar.

— Dopiero w pół do dziewiątej, mój Józefie; już ci powiedziałem, że nie zajmę się tą sprawą, aż o dziewiątej. Tymczasem, ponieważ trzeba, aby sprawiedliwości stało się zadość, będziesz pisał to, co ci podyktuję, gdyż mam pamięć bardzo dobrą. Pozostaje przy życiu jeszcze, widzę to z moich notatek, czterech z sędziów Urbana Grandier; ten Urban Grandier był to człowiek z prawdziwym geniuszem — dodał ze złośliwością; Józef zagryzł wargi. — Wszyscy

inni jego sędziowie powymierali nędznie; zostaje Homain, który będzie powieszony, jako przemytnik; możemy go zostawić do czasu, lecz ten okropny Lactance żyje oto w spokoju z Barré'm i Mignonem. Weź pióro i pisz do imcipana biskupa w Poitiers:

„Jaśnie Oświecony Panie!

„Jego Królewska Mość raczyła łaskawie rozkażać, aby ojcowie Barré i Mignon zostali zastąpieni w swoich probostwach i odesłani w jaknajkrótszym przeciągu czasu do miasta Lyonu, jak również ojciec Lactance, kapucyn, a to dla stawienia ich przed specjalnym trybunałem, jako oskarżonych o pewne zbrodnicze zamiary przeciwko państwu”.

Józef pisał z taką zimną krwią, z jaką Turek ucina głowę na znak swego pana.

Kardynał rzekł do niego, podpisując list:

— Powiem ci, w jaki sposób chcę usunąć ich z widowni tego świata, gdyż jest rzeczą nader ważną zatrzeć wszelkie ślady tego dawnego procesu. Opatrzność dobrze mi się przysłużyła, sprząając tych wszystkich ludzi; ja kończę jej dzieło. Oto wszystko, co będzie o tem wiedziało potomność.

I odczytał kapucynowi tę stronę ze swoich pamiętników, gdzie opowiada o opętaniu i czarach czarnoksiężnika <sup>1)</sup>.

Podczas jego powolnego czytania Józef nie mógł się wstrzymać od spojrzenia na zegar.

— Pilno ci przejść od tego do imcipana le Grand; aby ci sprawić przyjemność, przejdźmy za-

<sup>1)</sup> Czytaj „Pamiętniki Richelieugo“ w *Collection des Mémoires*, t. XXVIII, s. 139.

tem — rzekł wreszcie kardynał. — Czy sądzisz więc, że nie mam swoich powodów, aby być spokojnym? Czy myślisz, że pozwoliłem iść zadaleko tym biednym spiskowcom? Nie. Oto małe papiery, któreby cię uspokoiły, gdybyś je znał. Naprzód w tym wydrażonym w środku drewnianym walcu jest traktat z Hiszpanią, schwytny w Oloronie. Jestem bardzo zadowolony z Laubardemonta: to zręczny człowiek!

Ogień dzikiej zazdrości zajaśniał pod gęstemi brwiami Józefa.

— Ah! jaśnie oświecony panie — rzekł — nie wiesz, z jakich rąk on go wyrwał; to prawda, że pozwolił umrzeć temu człowiekowi i pod tym względem nie można się skarżyć; lecz w końcu był on agentem sprzysiężenia: to był jego syn.

— Czy mówisz prawdę? — powiedział kardynał z surowym wyrazem twarzy; — tak, bo nie ośmieliłbyś się kłamać przedemną. Jak dowiedziałeś się o tem?

— Przez ludzi z jego oddziału, jaśnie oświecony panie; oto ich doniesienia; stawiają się przed sądem.

Kardynał rozpatrzył się w tych nowych papierach i dodał:

— Użyjemy go więc jeszcze do sądenia naszych spiskowców, a potem zrobisz z nim, co zechcesz, ja ci go daję.

Józef uradowany, wziął z powrotem swoje cenne doniesienia i ciągnął dalej.

— Jego przewiełbność mówi o sądeniu ludzi jeszcze pod bronią i na koniu?

— Nie wszyscy oni pod bronią i na koniu. Czytaj ten list brata królewskiego do Chavigny'ego; prosi o przebaczenie, ma już tego dosyć. Nie śmiał nawet zwrócić się do mnie pierwszego dnia i nie pod-

niósł swojej prośby wyżej, niż do kolan jednego z moich służących<sup>1)</sup>.

Lecz nazajutrz nabrał odwagi i przysłał mi tę oto do mnie samego<sup>2)</sup>, oraz trzecią dla króla. Jego zamiar dusił go, nie mógł się z nim ukryć. Lecz ja nie daję się uspokoić tak małym kosztem, muszę

<sup>1)</sup> Dosłowny odpis korespondencji brata królewskiego i kardynała de Richelieu.

*Do imci pana de Chavigny.*

„Mości panie de Chavigny!

Ponieważ przypuszczam, że nie jesteś jeszcze ze mnie zadowolony i że prawdziwie masz do tego powód, nie przestaję prosić Waćpana o zajęcie się moją ugodą z Jego Przewielebnością i oczekuję tego skutku prawdziwego przywiązania, jakie masz dla mnie, gdyż sądzę, że przywiązanie to będzie jeszcze większe, niż twój gniew. Waćpan wiesz, jak bardzo go potrzebuję, abyś mnie wybawił z kłopotu, w jakim się znajduję. Uczyniłeś to już dwukrotnie u Jego Przewielebności. Przyśięgam, że po raz ostatni obarczam Waćpana podobnymi zleceniami.

*Gaston Orleański.*”

<sup>2)</sup> *Do Jego Przewielebności księcia kardynała.*

„Mój kuzynie!

Ten niewdzięczny imci pan le Grand jest najwystępniejszym człowiekiem na świecie przez to, że cię obraził; taski, jakie otrzymał od Jego Królewskiej Mości, kazały mi zawsze go się strzedz i wszystkich jego sztuczek, ale dla ciebie, mój Kuzynie, zachowuję szacunek i przyjaźń w zupełności... Jestem przejęty prawdziwym żalem, że zgrzeszyłem znów przeciwko wierności, którą winienem królowi, jaśnie oświecony panie, i biorę Boga na świadka szczerości, z jaką będę całe moje życie najwierniejszym z twoich przyjaciół i z tą samą miłością, z którą jestem, mój Kuzynie.

Twój kochający kuzyn  
*Gaston.*”

mieć szczegółową spowiedź, w przeciwnym razie wypędzę go z królestwa. Kazałem napisać mu o tem dziś rano<sup>3)</sup>.

Co do wspaniałego i możnego księcia de Bouillon, udzielnego władcy Sedanu i naczelnego wodza wojsk włoskich, ten został schwytany przez swych oficerów pośród swoich żołnierzy i ukrył się w pęku słomy. Pozostają więc jeszcze tylko moi dwaj młodzi sąsiedzi.

Wyobrażali sobie, że będą mieli cały obóz na swoje rozkazy, a pozostały im wierne tylko czerwone kompanie; wszystkie pozostałe, należące do brata królewskiego, nie będą działały i moje pułki je przyaresztują. Tymczasem pozwoliłem, aby udawano dla nich posłuszeństwo. Jeśli dadzą znak o wpół do dwunastej, zostaną aresztowane za pierwszym poruszeniem, w przeciwnym razie król wyda mi je dziś wieczorem.

...Nie otwieraj tak zdziwionych swoich oczów, mówię ci, król mi je wyda między północą a pierwszą. Widzisz, że wszystko odbyło się bez ciebie, Józefie; obchodzimy się bardzo dobrze bez twej pomocy i ostatnimi czasy nie widzę, abyśmy otrzymali wielkie usługi od ciebie; zaniedbujesz się.

— Ach, jaśnie oświecony panie, gdybyś wiedział, ile musiałem się namozolić, aby odkryć drogę posłanników, wiozących traktat! Nie mogłem dowie-

<sup>3)</sup> *Odpowiedź kardynała.*

„Mości Książę!

Ponieważ Bóg chce, aby ludzie uciekali się do szczerej i zupełnej spowiedzi dla otrzymania rozgrzeszenia za swoje błędy na tym świecie, wskazuję ci drogę, której powinieneś się trzymać, aby uwolnić się od kary. Wasza Książęca Mość zaczęła dobrze, do niej to należy skończyć. Oto wszystko, co mogę powiedzieć.“

dzieć się o tem inaczej. jak narażając swoje życie między dwojgiem tych młodych ludzi...

Tu kardynał zaczął się śmiać szyderczo z głębi swego fotelu.

— Musiałeś być bardzo śmieszny i w wielkim strachu, siedząc w tem pudełku, Józefie, i myślę, że pierwszy raz w swoim życiu słyszałeś mówiących o miłości. Czy lubisz tę mowę, ojcze Józefie? i, powiedz mi, czy rozumiesz ją zupełnie jasno? Nie sądzę, ażebyś o niej powziął bardzo piękne wyobrażenie

Richelieu, skrzyżowawszy ręce, patrzył z przyjemnością na oniemiałego kapucyna i ciągnął szyderczym tonem wielkiego magnata, który przybierał niekiedy, znajdując upodobanie w używaniu najszlachetniejszych wyrażen przez najsprośniejsze usta:

— No, Józefie, daj mi określenie miłości według twych pojęć. Cóż to być może? gdyż w końcu, widzisz, że to istnieje nietylko w romansach. Ten poczciwy młodzieniec ułożył te wszystkie spiski jedynie przez miłość. Słyszałeś to niegodnemi swemi uszami. No, coż to jest miłość? Bo co do mnie, nic o niej nie wiem.

Józef stał obezwładniony i patrzył na podłogę ogłupiałym wzrokiem jakiegoś ohydneho zwierzęcia. Po długim namyśle odpowiedział nakoniec przewlekłym przez nos głosem:

— Musi to być jakaś złośliwa gorączka, co miesza zmysły; ale, naprawdę, jaśnie oświecony panie, wyznam ci, że nie zastanowiłem się dotąd nad tem, rozmowa z kobietą nabawiała mnie zawsze kłopotu; chciałyby, aby można wyrzucić je ze społeczeństwa, nie widzę do czego one służą, chyba że do wydawania tajemnic, jak mała księżniczka, lub jak Marion de Lorme, której nie mogę nadto polecić waszej przewielebności. Pomyślała ona o wszystkim i z wielką

zręcznością rzuciła naszą małą przepowiednię pomiędzy tych spiskowców. Tym razem nie chybiłmy „cudowności”<sup>1)</sup>, jak przy oblężeniu Gesdinu; trzeba tylko będzie znaleźć okno, przez które wasza przewielebność przejdzie w dniu tracenia.

— Oto znów twoje głupstwa, mości panie! — rzekł kardynał. — Ośmieszysz mnie tak, jak siebie, jeśli pójdziesz dalej. Jestem zbyt silny, aby się posługiwać niebem, niechaj to ci się więcej nie zdarza. Zajmuj się tylko tymi, których ci daję; wydzieliłem ci twoją część przed chwilą. Gdy wielki koniuszy będzie wzięty, każesz go sądzić i stracić w Lyonie. Nie chcę mieszać się do tego więcej, to sprawa jest za mała dla mnie, to kamyczek pod memi stopami i nie powinienbym tak długo myśleć o nim.

Józef umilkł. Nie mógł zrozumieć tego człowieka, co otoczony przez uzbrojonych nieprzyjaciół, mówił o przyszłości, jak o terażniejszości, będącej do jego rozporządzenia, a o terażniejszości, jak o przeszłości, której się już nie obawiał. Nie wiedział, czy miał go uważać za obłąkanego, czy za proroka niższego, czy wyższego od ludzkości.

Jego zdziwienie podwoiło się, gdy Chavigny wszedł pośpiesznie i, potrącając o taburet tak, że o mało nie upadł, zawołał z widocznym pomieszaniem:

— Jaśnie oświecony panie, jeden z twoich słujących przybywa z Perpignanu, i widzisz obóz w ruchu, a twoich nieprzyjaciół na koniu...

<sup>1)</sup> Gdy w 1638 roku książę Tomasz kazał odstąpić od oblężenia Hesdinu, kardynał zmartwił się tem bardzo. Jedna zakonnica z klasztoru Góry Kalwaryi powiedziała, że zwycięstwo będzie przy królu, więc ojciec Józef chciał tym sposobem, aby mniemano, że Niebo opiekowało się ministrem.

(„Pamiętniki do dziejów kardynała de Richelieu“).

— Zsiądą oni z niego na ziemię, mospanie! — odparł Richelieu, przestawiając swój taburet.—Zdajesz mi się zapominać o winnym spokoju.

— Ale, ale... jaśnie oświecony panie, czy nie trzeba uprzedzić imci pana de Fabert?

— Pozwól mu się wypaść i sam idź do łóżka, tak jak Józef.

— Jaśnie oświecony panie, inna rzecz nadzwyczajna: król jedzie.

— Wistocie, to nadzwyczajne! — rzekł minister, patrząc na zegar. — Spodziewałem go się dopiero za dwie godziny. Wyjdźcie obydwoj.

Wkrótce usłyszano odgłos kroków i broni, zwiastujący przybycie monarchy. Otworzono naociecz podwoje, gwardya kardynała uderzyła trzykrotnie dzidami w podłogę i król się ukazał.

Szedł, opierając się na lasce z jednej strony, a ramieniu swego spowiednika, ojca Sirmonda z drugiej, który się cofnął i zostawił go z kardynałem. Ten podniósł się z największą trudnością, lecz nie mógł zrobić jednego kroku naprzód, gdyż jego chore nogi były owinięte. Uczynił ruch, jakby pomagał monarche usiąść przy ogniu nawprost siebie.

Ludwik XIII padł na wielki fotel, wyłożony poduszkami, kazał sobie podać i wypił szklanekę eliksiru, przygotowanego dla wzmocnienia przeciw częstym omdleniom, które mu sprawiała jego niemoc.

Oddalił wszystkich skinieniem ręki i, pozostawszy sam z kardynałem de Richelieu, rzekł do niego omdlewającym głosem:

— Odchodzę, mój drogi kardynale, czuję, że odchodzę do Boga. Słabnę z dnia na dzień, ani lato, ani powietrze południa nie wróciły mi moich sił.

— Poprzedzę waszą królewską mość— odpowie-

dział minister.—Śmierć opanowała już moje nogi, jak widzisz; lecz dopóki zostanie mi głowa do myślenia i ręka do pisania, będę zdatny na twoje usługi.

— I pewny jestem, że twoim zamiarem było dodać i serce do kochania mnie—rzekł król.

— Żaliż wasza królewska mość może o tem wątpić? — odparł kardynał, marszcząc brwi i gryząc sobie wargi z niecierpliwości, jaką mu ten wstęp sprawiał.

— Czasami wątpię o tem—odrzekł monarcha;—oto czuję potrzebę pomówić z tobą otwarcie i poskarżyć się na ciebie przed tobą samym. Są rzeczy, które mi ciążyą na sumieniu od trzech lat; nie mówiłem ci nigdy o nich, lecz w duszy miałem do ciebie urazę i nawet, gdyby coś było zdolne skłonić mnie do zgody na propozycyę przeciwną twoim interesom, to właśnie to wspomnienie.

Był to ten rodzaj otwartości, właściwy charakterem słabym, które sobie wynagradzają tym sposobem, niepokojąc swego władcę, zło, jakiego nie śmieją wyrządzić mu całkiem i mszczą się za swą zależność przez dziecinny spór.

Richelieu poznał po tych słowach, że był wystawiony na wielkie niebezpieczeństwo, lecz widział jednocześnie potrzebę wypowiedzenia go, że się tak wyrazimy, z całej jego urazy, i aby ułatwić wybuch tych ważnych wyznań, nie żałował zaprzeczeń, jakie uznał za najwłaściwsze, aby zniecierpliwie króla.

— Nie, nie!—zawołał wręszcie monarcha.—Nie uwierzę niczemu, dopóki mi nie wyjaśnisz tych dwóch rzeczy, co przychodzą mi zawsze na myśl, a mówiono mi o nich jeszcze niedawno, i nie mogę ich usprawiedliwić żadnem rozumowaniem; chcę mówić o procesie Urbana Grandier, o czem nie byłem nigdy dobrze po-

wiadomiony i o powodach twojej nienawiści do mojej nieszczęśliwej matki, a nawet do jej popiołów.

— Żaliż to tylko, najjaśniejszy panie?—rzekł Richelieu. — Czy to są jedyne moje błędy? Łatwe one do wytłómaczenia. Pierwsza sprawa miała być ukryta przed wzrokiem waszej królewskiej mości z powodu swoich szczegółów okropnych i zieżających skandalem. Była, zaiste, sztuka, nie zasługująca przecież, aby ją nazywano „czornoksięztwem” występków, których imię oburza wstydlivość, których opowiadanie ujawniłoby przed niewinnością, niebezpieczne tajemnice; był to święty podstęp, aby zasłonić przed oczami ludów te sprośności...

— Dość, dość tego, kardynale!—zawołał Ludwik XIII, odwracając głowę i spuszcżając ze wstydu oczy.—Nie mogę słucać o tem dłużej; rozumiem cię, te obawy raziłyby mnie, pochwalam twoje powody, dobrze. Nie powiedziano mi o tem, ukryto przedemną te okropne występki. Czy zapewniłeś się o powodach tych zbrodni?

— Miałem wszystkie w swoich rękach, najjaśniejszy panie, a co do sławnej królowej Maryi Medycejskiej, jestem zdziwiony, że wasza królewska mość zapomina o mojem przywiązaniu do niej. Tak, nie lękam się wyznać, jej to zawdzięczałem całe moje wyniesienie; ona pierwsza raczyła rzucić okiem na dwudziestodwuletniego zaledwie wówczas biskupa Luceńskiego, aby zbliżyć go do siebie. Jakże cierpiałem, kiedy zmusiła mnie do walczenia z nią w sprawie waszej królewskiej mości. Lecz ponieważ to poświęcenie było uczynione dla ciebie, nie miałem z tego powodu i nie będę miał nigdy żadnego niepokoju sumienia.

— Ty, zgoda; ale ja! — rzekł monarcha z goryczą.

— Eh, najjaśniejszy panie!—zawołał.—Syn Bo-

ży<sup>1)</sup> daje ci sam tego przykład, idąc za tym wzorem wszelkich doskonałości, przyprowadziliśmy do porządku nasze zadania; i jeśli pomniki, należne drogocennym szczątkom twojej matki nie są jeszcze wzniesione, Bóg mi świadkiem, że to z obawy, aby nie zasmucać twego serca i nie przypominać ci o jej śmierci, opóźniliśmy koło nich roboty. Lecz błogostawionym niechaj będzie dzień, w którym dano mi mówić o tem! Ja sam odprawię pierwszą mszę u świętego Dyonizego, gdy ciało jej zostanie tam złożone, jeśli Opatrzność udzieli mi sił potemu.

Tu król przybrał nieco przyjemniejszy wyraz twarzy, lecz zawsze zimny; kardynał, nie sądząc tedy, ażeby mógł przekonać go bardziej tego wieczoru, postanowił nagle zrobić najpotężniejszą z dywersyj i uderzyć wprost na nieprzyjaciela. Patrząc więc dalej na króla nieruchomym wzrokiem, rzekł chłodno:

— Czyż zatem dlatego pozwoliłeś na moją śmierć?

— Ja? — zawołał król: oszukano cię; — słyzałem wprawdzie o spisku i chciałem ci o nim coś powiedzieć; ale nie wydałem żadnego rozkazu przeciw tobie.

— Co innego powiadają spiskowcy, najjaśniejszy panie; jednakże muszę wierzyć waszej królew-

<sup>1)</sup> W 1639 r. król zasięgnął jego rady względem prośby swojej matki, pozostającej na wygnaniu, o powrót jej do Francji. Richelieu odpowiedział:

„Kto może wątpić, aby nie było wolno pauzującemu odłączyć się od matki dla ważnych powodów?... Syn Boży nie wahał się rozstać na jakiś czas ze swoją matką i zostawić ją przez kilka dni w niepokoju. Odpowiedź, którą dał swojej matce, kiedy się skarżyła z tego powodu, powinna uczyć królów, że ci, którym Bóg powierzył staranie o dobro powszechnie królestwa, obowiązani są zawsze przekładać je nad osobiste swoje sprawy.“

(Relation de M. de Fontailles).

skiej mości i bardzo mnie to cieszy ze względu na nią, że się omylono. Lecz jakichże rad raczysz mi udzielić?

— Chciałem... chciałem powiedzieć ci otwarcie, że dobrzebyś uczynił, gdybyś się strzegł mojego brata...

— Ach! najjaśniejszy panie, nie mogę temu wierzyć teraz, gdyż oto list, który dla ciebie przed chwilą mi przysłał, i zdawałoby się, że zawinił względem samej waszej królewskiej mości.

Król, zdziwiony, przeczytał:

„Jaśnie Oświecony Panie!

„Jestem w rozpacz, że uchybiłem znów przeciwko wierności, jaką winienem Waszej Królewskiej Mości; błagam ją najpokorniej o przyjęcie tysiackrotnej mojej prośby względem darowania mi winy, razem z zapewnieniem powolności i żalu.

„Twój najpokorniejszy poddany,  
„*Gaston*”

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał Ludwik; — czyżby oni śmieli uzbrajać się przeciwko mnie samemu także?

— Także! — powtórzył eicho kardynał, gryząc sobie wargi; poczem odparł: — Tak, najjaśniejszy panie, także; przynajmniej do pewnego stopnia każe mi w to wierzyć ta trąbka papierowa.

To mówiąc, wyciągnął pergamin, zwinięty w kawałek wydrążonego w środku drzewa i rozłożył go przed oczyma króla.

— Jest to poprostu traktat z Hiszpanią, na który, jednak, nie sędzę, aby się wasza królewska

mość zgodziła. Składa się on z dwudziestu artykułów, ułożonych w zupełnym porządku <sup>1)</sup>).

Wszystko przewidziane: miejsca obronne, liczba wojsk, pomoc w ludziach i pieniądzach.

— Zdrajcy! — zawołał Ludwik wzburzony — trzeba kazać ich schwytać; mój brat wyrzeka się i żaluje, ale każe aresztować księcia de Bouillon...

— Dobrze, najjaśniejszy panie!

— To będzie trudne pośród jego wojsk włoskich.

— Odpowiadam za jego aresztowanie moją głową, najjaśniejszy panie; ale czyż niema innego imienia?

— Jakie?... co?... Cinq-Mars? — rzekł król, jękając się.

— Właśnie, najjaśniejszy panie — odparł kardynał.

— Pamiętam o nim... lecz sędzę, że możnaby...

— Posłuchaj mnie, najjaśniejszy panie — rzekł nagle Richelieu grzmiącym głosem: — dziś musi być wszystko skończone. Twój ulubieniec stoi na czele swojej partyi; wybierz między nim a mną. Wyдай pacholę mężowi, lub męża pacholęciu, tu niema półśrodka.

— Ech! czego więc będziesz chciał, jeśli okażę ci moją łaskawość?

— Jego głowy i głowy jego powiernika.

— Nigdy... to niemożliwe! — odpowiedział król ze zgrozą i z tem samem wahaniem, które go ogarnęło wobec Cinq-Marsa, występującego przeciwko Richelieuemu. — Jest on moim przyjacielem tak dobrym,

<sup>1)</sup> Artykuły tego traktatu zostały szczegółowo zacytowane w „Relacyi Fontailles'a“.

jak i ty; serce mi się krwawi na samą myśl o jego śmierci. Dlaczego nie zgodzaliście się z sobą obydwaj? zkąd ten rozdział? To go do tego doprowadziło. Wy przywieźliście mnie do rozpaczy; ty i on, przez was jestem najniezwyklejszym z ludzi!

To mówiąc, Ludwik ukrył twarz w dłoniach i może przelewał łzy; lecz niewzruszony minister śledził go oczyma, jak się patrzy na swoją zdobycz, i bez litości, nie dając mu chwili czasu dla wytchnienia, skorzystał przeciwnie z tego wzruszenia, ażeby mówić dłużej.

— Także to—rzekł ostrym i zimnym głosem—pamiętasz o przykazaniach, które ci sam Bóg zalecił przez usta twego spowiednika? Powiedziałeś mi jednego dnia, że Kościół nakazywał ci wyraźnie wyjawiać twojemu pierwszemu ministrowi wszystko, co usłyszysz przeciwko niemu, a nie wiedziałem nigdy przez ciebie nic o mojej blizkiej śmierci. Dopiero wierniejsi przyjaciele zawiadomili mnie o spisku; niechaj winni sami, dzięki zrządzeniu Opatrzności, oddadzą mi się duszą i ciałem, ażeby wyznać przedemną swoje błędy. Jeden tylko, najzaciętszy, najmniejszy ze wszystkich opiera się jeszcze; on to wszystko poprowadził, on to wydaje Francję cudzoziemcom, on obala w jeden dzień pracę dwudziestu moich lat, podburza Hugonotów z południa, wzywa pod broń wszystkie stany państwa, wskrzesza zgniecione już uroszczenia i zapala nanowo ligę, zgaszoną przez twego ojca, gdyż ona to podnosi wszystkie swoje głowy przeciw tobie: Czyś gotów do walki? gdzież więc twoja maczuga?

Król, bezsilny, nie odpowiadał i ukrywał ciągle twarz w dłoniach. Kardynał, nieubłagany, skrzyżował ręce i mówił dalej:

— Lękam się, ażeby ci nie przyszło do głowy, że przemawiam w swojej sprawie. Czy myślisz isto-

tnie, że ja siebie nie sędzę i że taki przeciwnik obchodzi mnie bardzo? Prawdę mówiąc, nie wiem, co mi przeszkadza dać ci coś zrobić i złożyć ten ogromny ciężar państwa w ręce tego młodzieniaszka. Domyślisz się łatwo, że chociaż od lat dwudziestu służę wiernie twojemu domowi, nie zaniedbałem zapewnić sobie sam jakiegoś schronienia, gdzie, niezależnie od ciebie samego, mógłbym, tak postępując, dokonać może sześciu miesięcy, jakie mi pozostają do życia. Ciekawem zaiste widowiskiem byłoby dla mnie takie panowanie! Co odpowiesz, na przykład, gdy ci wszyscy mali mocarze, powstawszy, odkąd ja nie będę ich naciskał, przyjdą za twoim bratem powiedzieć ci: „Podziel się z nami całym swoim królestwem i panowaniem, a będziemy zadowoleni!”<sup>1)</sup> Uczynisz to, nie wątpię, a to rzecz najmniejsza, na jaką zezwoliłbyś dla tych, co uwolniliby cię od Richelieugo; a może to będzie i lepiej, gdyż aby rządzić w Isle de France, którą zostawia ci niewątpliwie jako własność dziedziczną, twój nowy minister nie będzie potrzebował tylu papierów.

To mówiąc, pchnął z gniewem wielki stół, wypełniający prawie komnatę i przeciążony niezliczonymi papierami i tekami.

Ludwik został wyrwany ze swojej odrętwiałej zadumy przez nadmiar śmiałości tej przemowy; podniósł głowę i zdawało się, że w jednej chwili powziął jakieś postanowienie z obawy, aby nie powziąć innego.

— A zatem, mościpanie—rzekł—odpowiem, że chcę panować sam.

— I owszem—rzekł Richelieu—lecz muszę cię ostrzedz, że sprawy na dobre są bardzo trudne.

<sup>1)</sup> Pamiętniki Sully'ego, 1595.



Oto godzina, o której przynoszą mi zwykłą moją pracę.

— Biorę ją na siebie—odparł Ludwik—otworzę teki, wydam rozkazy.

— Spróbuj więc — odrzekł Richelieu — odchodzę, a jeśli co stanie ci na przeszkodzie, przywołasz mnie.

Zadzwoił.

W tejże chwili, jakby czekając na to hasło, weszło czterech lokajów i uniosło jego fotel i jego osobę na inne pokoje, gdyż, jak powiedzieliśmy wyżej, nie mógł już chodzić.

Przeniesiony do komnaty, w której pracowali sekretarze, zawołał głośno:

— Słuchać rozkazów Jego Królewskiej Mości.

Król został sam.

Silny dzięki nowemu swemu postanowieniu i dumny, że się raz oparł, chciał natychmiast zabrać się do pracy politycznej. Obszedł ogromny stół dokoła i zobaczył tyle tek, ile wówczas liczono cesarstw, królestw i rządów w Europie; otworzył jedną z nich i ujrzał, że była podzielona na przegródki, których liczba odpowiadała ilości prowincyj danego kraju. Wszystko było w porządku, ale w porządku straszliwym dla niego, bo każda notatka zawierała tylko kwintesencję każdej sprawy, jeśli można wyrazić się w ten sposób, i dotykała jeno właściwego stanu stosunków z Francją w danej chwili. Ta zwięzłość była prawie tak samo zagadkowa dla Ludwika, jak listy cyfrowane, pokrywające stół. Tam wszystko leżało w nieładzie: na edyktach, wywołujących z kraju i wywłaszczających Hugonotów z Roszelli były porzucane traktaty z Gustawem Adolfem i Hugonotami z północy przeciwko cesarstwu; notatki o jenerale Bannier, o Wallensteinie, o księciu Wejmarskim i o Janie de Wert, leżały w nieładzie razem z wykazem

listów znalezionych w szkatułce królowej, ze spisem jej naszyjników i klejnotów, które się tam znajdowały, i z dwojakiem objaśnieniem, jakie można było zastosować do każdego zdania jej listów. Na marginesie jednego z nich były te słowa: „Na mocy czterech wierszy pisma człowieka, można mu wytoczyć sprawę kryminalną.” Dalej leżały nagromadzone doniesienia na Hugonotów, plany republikańskie, przez nich przyjęte; podział Francji na obwody, pod roczną dyktaturą wodza; pieczęć projektowanego tego państwa, dołączona do owych planów, przedstawiała anioła, opartego na krzyżu i trzymającego w ręku wzniesioną nad swem czołem Biblię. Obok leżał spis kardynałów, których papież mianował ongi tego samego dnia, co biskupa Luçońskiego (Richelieugo). Między nimi znajdował się margrabia de Bédemar, poseł i spiskowiec w Wenecji.

Napróżno Ludwik XIII wysiłał się nad szczegółami z innego okresu, szukając bezowocnie papierów, odnoszących się do sprzysiężenia i mogących pokazać mu prawdziwy jego węzeł i to, o co kuszono się przeciwko niemu samemu, gdy jakiś człowiek z twarzą oliwkową, zgarbiony, o wymuszonych ruchach świętoszka, wszedł do gabinetu; był to sekretarz stanu, nazwiskiem Desnoyers; zbliżył się z ukłonem:

— Czy mogę mówić Waszej Królewskiej Mości o sprawach Portugalii?—zapytał.

— Hiszpanii zatem—poprawił Ludwik;—Portugalia jest prowincją hiszpańską.

— O Portugalii — powtórzył Desnoyers. — Oto orędzie, które otrzymaliśmy w tej chwili. — I przeczytał:

„My, Don Juan, z Bożej łaski, król portugalii, Algawrów, królestw z tej strony Afryki, pan Gwinei, zaboru, żeglugi i handlu Etyopii, Arabii, Persyi i Indyi...”

— Co to wszystko znaczy?—zapytał król—kto więc mówi tym sposobem?

— Książę Bragancyi, król Portugalii, ukoronowany przed... niedawno, Najjaśniejszy Panie, przez pewnego człowieka, nazwiskiem Pinto. Zaledwie wstąpił znów na tron, już podaje rękę zbuntowanej Katalonii.

— Katalonia buntuje się także? Czyż więc hrabia-książę de San-Lucar już nie jest pierwszym ministrem króla Filipa IV?

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, właśnie dlatego, że jest nim jeszcze. Oto oświadczenie jeneralnych stanów katalońskich do Jego Królewskiej Mości katolickiej, w którym powiedziano, że cały kraj chwytą za broń przeciw jego wojsku świętokradzkiemu i wyklętemu. Król Portugalii...

— Mów książę Bragancyi—odparł Ludwik;—nie uznaję buntownika.

— Książę Bragancyi tedy, Najjaśniejszy Panie—rzekł chłodno radca stanu—posyła księztwu Katalonii swego siostrzeńca, D. Ignacego de Mascarenas, aby zagarnąć opiekę nad tym krajem (a może panowanie nad nim, aby dodać je do tego, które dopiero co na nowo zdobył). Otóż wojsko Waszej Królewskiej Mości jest pod Perpignanem.

— Cóż to ma za związek?—zapytał Ludwik.

— Katalończycy mają serce bardziej francuskie, niż portugalskie, Najjaśniejszy Panie, i czas jeszcze zabrać tę opiekę królowi... księciu portugalskiemu.

— Ja, miałbym pomagać buntownikom! Wacpan śmiesz!

— Był to zamiar jego przewielebności—ciągnął sekretarz stanu — Hiszpania i Francya są zresztą w pełni wojny i imépan d'Olivarès nie wahał się

podać ręki Jego Królewskiej Mości katolickiej naszym Hugonotom.

— Dobrze, pomyszę o tem—rzekł król;—zostaw mnie.

— Najjaśniejszy panie, jeneralnemu stanom Katalonii pilno, wojsko arragońskie idzie naprzeciw nim...

— Zobaczymy... Namyszę się za kwadrans—odparł Ludwik XIII.

Mały sekretarz stanu wyszedł z miną niezadowoloną i zniechęconą. Po nim zjawił się Chavigny, trzymając tekę z herbem brytańskim.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — proszę Waszą Królewską Mość o rozkazy co do spraw angielskich. Parlamentarze, pod dowództwem hrabiego Essea, kazali właśnie odstąpić od oblężenia Gloucesteru; książę Rupert stoczył z Newburgiem bitwę okropną i mało korzystną dla Jego Królewskiej Mości brytańskiego. Parlament się przedłuża, a ma za sobą wielkie miasta, porty i całą ludność presbyteryańską. Król Karol I żąda posiłków, których królowa nie może już znaleźć w Holandyi.

— Trzeba posłać wojsko memu bratu angielskiemu—rzekł Ludwik.

Ale chciał widzieć papiery wcześniejsze, i przeglądając notatki kardynała, zobaczył, że na pierwszej prośbie króla Anglii napisał własnoręcznie:

„Trzeba zastanowić się długo i czekać. Izby są silne; król Karol liczy na Szkotów; oni go zdradzą za pieniądze.

„Trzeba się strzedz. Pewien wojskowy, przybyły dla zwiedzenia Vincennes, powiedział, że należy zawsze uderzać książąt tylko w głowę. *Godne uwagi*—dodał kardynał. — Potem przekreślił ten wyraz, podstawiając wzamian: *Straszne*.

A niżej:

„Ten człowiek stoi wyżej, niż Fairfax; jest on natchniony od Boga; to będzie wielki człowiek. Pośiłki odmówione; pieniądze stracone.”

Król rzekł wtedy:

— Nie, nie, nie przyspieszajcie nic, zaczekam.

— Lecz, Najjaśniejszy Panie — odparł Chavigny — wypadki następują szybko; jeśli goniec spóźni się o godzinę, zguba króla angielskiego może być przyspieszona o rok czasu.

— Tak daleko zaszło?—powiedział Ludwik.

— W obozie niezależnych głoszą rzeczpospolitą z Biblią w rękę; w obozie rojalistów spółubiegają się o pierwszeństwo i śmieją się.

— Lecz jedna szczęśliwa chwila może wszystko ocalić!

— Stuartci nie są szczęśliwi, Najjaśniejszy Panie—odparł Chavigny z uszanowaniem, ale tonem pozostawiającym wiele do myślenia.

— Zostaw mnie—rzekł Ludwik tonem złego humoru.

Sekretarz stanu wyszedł wolnym krokiem.

Wtedy to Ludwik XIII zobaczył siebie całego i przeraził się nicością, którą znalazł w sobie samym. Zmierzył naprzód okiem stos otaczających go papierów, przechodząc od jednego do drugiego, znajdując wszędzie niebezpieczeństwo, i to zawsze największe w samych wynajdywanych przez siebie środkach ratunkowych. Podniósł się i zmieniając miejsce, zgiął się, albo raczej rzucił na kartę geograficzną Europy; znalazł tam wszystkie swoje trwogi razem, na północy, na południu, w środku swego królestwa; rewolucye ukazywały mu się jak Eumenidy; zdawało mu się, że w każdym kraju widzi dymiący wulkan; zdawało mu się, że słyszy rozpaczliwe krzyki przy-

wołujących go królów i wściekłe wycia ludów; zdawało mu się, że ziemia pęka i rozstępuje się pod jego nogami; słaby i zmęczony jego wzrok zaszedł mgłą, w jego chorej głowie powstał zawrót i spędził krew aż do serca.

— Richelieu! — zawołał przytłumionym głosem, poruszając dzwonkiem; — niech przywołają kardynała!

I padł zemdlony na fotel.

Gdy król otworzył nanowo oczy, ożywiony silnemi zapachami i solami, które mu położono na ustach i skroniach, zobaczył naprzód paziów, lecz ci oddalili się zaraz i znów został sam na sam z kardynałem.

Niewzruszony minister kazał postawić swój szeslong przy fotelu króla, niby krzesło lekarza przy łóżku chorego, i utkwiał iskrzące i badawcze swoje oczy w bladym obliczu Ludwika.

Jak tylko ten mógł go słyszeć, kardynał podjął nanowo ponurym głosem straszną swoją rozmowę:

— Przywołałeś mnie—powiedział—czego chcesz odemnie?

Ludwik, powalony na poduszce, otworzył na wpół oczy i spojrzął na niego, poczem przymknął je śpiesznie.

Ta wychudła głowa, uzbrojona w parę ognistych oczu i zakończona szpiczastą i białawą brodą; ten biret i te szaty barwy krwi i płomieni, wszystko przedstawiało mu ducha piekielnego.

— Panuj—rzekł słabym głosem.

— Ale czy wydasz mi Cinq-Marsa i de Thou?—ciągnął nieubłagany minister, zbliżając się, aby czytać w wygasłych oczach monarchy, jak cheiwy spadkobierca ściga aż do grobu ostatnie błyski woli umierającego.

— Panuj—powtórzył król, odwracając głowę.

— Podpisz więc—odparł Richelieu;—ten papier głosi: „Oto jest moja wola, wziąć ich umarłych lub żywych.”

Ludwik, mając głowę ciągle powaloną na tylnem oparciu, opuścił rękę na nieszczęsny papier i podpisał.

— Zostaw mnie, przez litość! umieram — rzekł.

— To jeszcze nie wszystko — mówił dalej ten, którego nazywano wielkim politykiem; — nie jestem ciebie pewny; trzeba mi odtąd rękojmi i zakładników. Podpisz jeszcze, co następuje, a zostawię cię w spokoju.

„Gdy król będzie odwiedzał kardynała, strażę tegoż zostaną pod bronią; a gdy kardynał będzie odwiedzał króla, jego strażę podzielią posterunki Jego Królewskiej Mości.”<sup>1)</sup>

Dalej:

„Jego Królewska Mość obowiązuje się oddać dwóch książąt, swoich synów, jako zakładników w ręce kardynała, dla zapewnienia dobrej wiary swego przywiązania.”<sup>2)</sup>

— Moje dzieci! — zawołał Ludwik, podnosząc głowę—ty śmiesz...

— Czy wolisz, Najjaśniejszy Panie, abym się oddalił?—rzekł Richelieu.

Król podpisał.

— Czy to już koniec? — rzekł z głębokim jękiem.

To nie był jeszcze koniec: inna boleść czekała go, niestety.

<sup>1)</sup> Rękopis Pointisa, 1642, nr. 185.

<sup>2)</sup> Pamiętniki Anny Austriackiej, 1642.

Drzwi otworzyły się nagle i ujrzano wchodzącego Cinq-Marsa.

Tym razem kardynał zadrżał.

— Czego waćpan chcesz?—powiedział, chwytając za dzwonek, aby zawołać o pomoc.

Wielki koniuszy był nie mniej błądy od króla i nie racząc odpowiedzieć Richelieu, zbliżył się spokojnie do Ludwika XIII.

Ten patrzył na niego, jak patrzy człowiek, którego przed chwilą odczytano wyrok śmierci.

— Musisz napotykać, Najjaśniejszy Panie, pewne trudności, aby mnie kazać aresztować, gdyż mam dwadzieścia tysięcy żołnierza pod swemi rozkazami — rzekł Henryk d'Effiat najłagodniejszym głosem.

— Niestety!—zawołał Ludwik z boleścią—tyżes to uczynił takie rzeczy?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, i to ja przynoszę ci swoją szpadę, bo wydałeś mnie bezwątponia — rzekł, odpasując ją i składając u stóp króla, który spuścił oczy, nie odpowiadając.

Cinq-Mars uśmiechnął się ze smutkiem, lecz bez goryczy, gdyż nie należał już do ziemi. Następnie, patrząc na Richelieu z pogardą, powiedział:

— Poddaję się, bo chcę umrzeć, lecz nie jestem zwyciężony.

Kardynał zacisnął pięście z wściekłości, ale się wstrzymał.

— A jacyż są twoi współnicy?—zapytał.

Cinq-Mars patrzył na Ludwika XIII niewzruszenie i nawpół otworzył usta, aby mówić...

Król spuścił głowę i wycierpiał w tej chwili mękę nieznaną wszystkim ludziom.

— Nie mam ich wcale — rzekł w końcu Cinq-Mars, litując się nad monarchą.

I wyszedł z komnaty.

Zatrzymał się na początku pierwszej galeryi, gdzie wszystka szlachta i Fabert, widząc go, powstali.

Cinq-Mars podszedł do tego ostatniego i rzekł do niego:

— Mościpanie, wydaj tym szlacheicom rozkaz aresztowania mnie.

Wszyscy spojrzeli na siebie, nie śmiejąc zbliżyć się do niego.

— Tak, mościpanie, jestem twoim więźniem... tak, mościpanowie, jestem bez szpady i, powtarzam, więźniem króla.

— Niewiem, co to znaczy—powiedział jenerał—dwóch się was poddaje, ja zaś nie mam rozkazu aresztowania nikogo.

— Dwóch?—rzekł Cinq-Mars—to może być tylko imépan de Thou; niestety! zgaduję go po tem poświęceniu.

— A czyż ja nie odgadłem ciebie? — zawołał tenże, ukazując się i rzucając w jego ramiona.

## ROZDZIAŁ XXV.

### WIĘŹNIOWIE.

Znałem w swoim sercu zamysł mego brata.  
Pichald, *Leonidas*.

Umrzeć, nie wypróżniwszy swojego kołczana!  
Nie zgniótisz, nie zdeptawszy w ich własnej kałuży  
Tych kotów, którzy błotem obrzucają prawo!  
*Andrzej Chenier*.

Między temi starymi zamkami, z których Francya ogałaca się, niestety, co rok, jak z klejnotów swojej korony, stał jeden ponury i dziki z wejrzenia, na lewym brzegu Saony. Zdawał się groźną strażnicą, umieszczoną u jednej z bram Lyonu, i miał nazwę wziętą od ogromnej skały Pierre-Encise, co się wznosi prostopadle nakształt naturalnej piramidy. Wierzchołek jej, zagięty nad drogą i zwieszony aż nad rzeką, łączył się niegdyś podobno z innymi skałami, widniejącymi na przeciwległym brzegu, tworząc jakby naturalny łuk mostu; ale czas, woda i ręka ludzi pozostawiły tylko stary stos granitowy, co służył za piedestał zburzonej dziś warowni. Arcybiskup

lyońscy wzniesli ją niegdyś, jako świeccy władcy miasta, i utworzyli w niej swoje pomieszkanie; od owego czasu stała się ona miejscem obronnem, a za Ludwika XIII więzieniem stanu. Jedyna olbrzymia wieża, do której światło dzienne mogło się dostać tylko przez trzy długie strzelnice, panowała nad gmachem, a kilka niefortunnych budynków otaczało go swemi grubemi murami, o liniach i narożnikach zastosowanych do kształtów ogromnej i prostopadłej skały.

Tam to kardynał de Richelieu, zazdrosny o swoją zdobycz, chciał sam poprowadzić i uwięzić swych młodych nieprzyjaciół. Pozwalając Ludwikowijecha naprzód do Paryża, wywiózł ich z Narbonne, wlokąc za sobą, aby ozdobić nimi swój ostatni tryumf i puszczając się na wody Rodanu, w Tarasconie, prawie przy ujściu, jakby dla przedłużenia tej przyjemności zemsty, którą ludzie śmieli nazwać zemstą bogów, rozwijając przed oczyma obu brzegów przepych swojej nienawiści, popłynął w górę rzeki powoli na łodziach, o złoconych wiościach i przystrojonych w jego herby i barwy, leżąc na pierwszej i ciągnąc za sobą swoje dwie ofiary na drugiej, na końcu długiego łańcucha

Często wieczorem, gdy przeszedł upał, na obu łódkach zniknął namiot, i widać było w jednej Richelieu, bladego i wychudłego, siedzącego z tyłu; w następnej dwóch młodych więźniów, stojących, z twarzą spokojną, opartych jeden na drugim i patrzących na płynące szybko fale rzeki. Niegdyś żołnierze Cezara, którzy obozowali na tych samych brzegach, sądziliby, że widzą niewzruszonego przewoźnika piekieł, wiodącego przyjacielskie cienie Kastora i Polluxa; chrześciance nie mieli nawet śmiałości, aby się zastanowić i widzieć w tem kapłana, prowadzącego swoich dwóch nieprzyjaciół do kata: to przejeżdżał pierwszy mini-

ster. Wistocie, przejeżdżał, zostawiając ich pod strażą w tem samem mieście, gdzie spiskowcy mieli zamiar kazać go uśmiercić. Lubił on tak igraszkę sobie czynić wprost z losu i zatknąć zwyciężką swą chorągiew tam, gdzie ten chciał mu przygotować grób.

„Kazał się wieźć, mówi pewien dziennik, pisany z owego roku, w górę rzeki Rodanu, na statku, na którym zbudowano z drzewa izbę, obitą karmazynowym aksamitem, przedstawiającym liście na tle złotem. Tuż obok był przedpokój tego samego kształtu; na przedzie i z tyłu statku stało mnóstwo żołnierzy z jego gwardyi, w szkarłatnych płaszczach, haftowanych złotem, srebrem i jedwabiem, jak również wielu znacznych magnatów. Jego przewiełbność leżała na łożu, przystrojonem purpurową kitajką. Jaśnie oświecony kardynał Bigny i jaśnie oświeceni biskupi: nantejski i miasta Chartres mieścili się z mnóstwem księży i szlachty na innych statkach. Przed jego statkiem fregata szukała bezpiecznych miejsc dla przejścia, za nią płynął pod wodę inny statek, pełen żołnierzy z rusznicami i dowodzących nimi oficerów. Gdy przybijano do jakiej wyspy, wysadzano na brzeg żołnierzy dla zbadania, czy niema na niej ludzi podejrzanych, a gdy ich nie spotkano, żołnierze ci pilnowali brzegów, dopóki nie przeszły dwa następne statki; były one napełnione szlachtą i dobrze uzbrojonymi żołnierzami.

„Następnie płynął statek jego przewiełbności, do którego przywiązany był z tyłu mały statek, wiozący imci panów de Thou i Cinq-Marsa, strzeżonych przez oddział gwardyi królewskiej i dwunastu gwardzistów jego przewiełbności. Za statkami płynęły trzy łodzie, wiozące sfory i naczynia srebrne jego przewiełbności, z wielą szlachty i żołnierzy.

„Brzegiem Rodanu, w Dauphiné, szły dwie kom-

panie szwoleżerów, i tyleż brzegiem od strony Languedocu i Vivarais; nader piękny pułk piechoty wstępował do miast, gdzie jego przewielebność miała wejść lub spać. Z przyjemnością słuchano trąb, grających w Dauphiné, i tych, co odpowiadały z Vivarais, oraz odgłosów naszych skał; rzechy można, że wszystko ubiegało się o lepsze w tym koncercie”.

Pośród nocy wrześniowej 1642 r., gdy wszystko zdawało się drzemać w niezdobytej wieży więźniów, drzwi pierwszej ich komnaty obróciły się cicho na zawiasach i na progu ukazał się człowiek ubrany w ciemną suknię, przepasaną sznurem, w trepkach na nogach i z pękiem wielkich kluczy w ręce: był to Józef. Spojrzał z przezornością, nie posuwając się naprzód, i przyglądał w milczeniu pomieszkaniu wielkiego koniuszego. Grube kobierce, szerokie i świetne obicia zasłaniały mury więzienia; łożo z czerwonego adamaszku stało przygotowane, lecz więźnia w niem nie było; siedział przy wysokim kominku, w wielkim fotelu, ubrany w długą szarą suknię, podobną do sukni kapitanów, ze spuszczoną głową, z oczyma utkwionemi w złoty krzyżyk, przy drżącym blasku lampy, pogrążony w rozmyślaniu tak głębokiem, że kapucyn miał czas zbliżyć się do niego i stanąć oko w oko z więźniem, zanim ten się spostrzegł. W końcu podniósł głowę i zawołał:

— Pocoś tu przyszedł, nędzniku?

— Młodzieńcze, jesteś popędliwy — odparł cichutkim głosem tajemniczy wizytator; — dwa miesiące więzienia mogłyby cię były uspokoić. Przychodzę powiedzieć ci o rzeczach ważnych: posłuchaj mnie; myślałem wiele o tobie i nie nienawidzę cię tak bardzo,

jak sądzisz. Każda chwila droga, powiem ci wszystko w kilku słowach. Za dwie godziny mają przyjść, ażeby cię badać, sądzić i skazać na śmierć, razem z twoim przyjacielem, to rzecz niechybna, gdyż wszystko musi się skończyć tego samego dnia.

— Wiem o tem — rzekł Cinq-Mars — i liczę na to.

— A więc! mogę jeszcze wybawić cię z matni, gdyż rozmyślałem wiele, jak ci o tem mówiłem, i przychodzę przedstawić ci rzeczy, które cię niewątpliwie ucieszą. Kardynał nie przeżyje już sześciu miesięcy; nie róbmy tajemnicy, musimy być wzajemnie dla siebie z zupełną otwartością; widzisz, dokąd zaprowadziłem cię dla niego, i z tego możesz się domyślić, dokąd zaprowadzę go dla ciebie, jeśli zechcesz; możemy mu odjąć te sześć miesięcy, jakie mu pozostają. Król cię kocha i przyzwie do siebie z radością, gdy się dowie, że żyjesz; jesteś młody, będziesz szczęśliwy i potężny; będziesz mnie popierał, przez ciebie zostanie kardynałem.

Zdziwienie odjęło mowę młodemu więźniowi, który nie mógł zrozumieć podobnej propozycji, i zdawał się odczuwać trudność, aby zejść do niej z wysokości swoich rozmyślań:

— Twój dobroczyńca, Richelieu!

Oto wszystko, co mógł odpowiedzieć.

Kapucyn się uśmiechnął i mówił dalej pocichu, zbliżając się do niego:

— W polityce niema dobrodziejstw, są tylko interesy, nic więcej. Człowiek, którym się posługuje minister, nie powinien być wdzięczniejszy, niż koń, dosiadany przez koniuszego, zato, że został przełożony nad innego. Mój chód podobał mu się, bardzo mnie to cieszy. Teraz mnie się podoba zrzucić go na ziemię.

— Tak, ten człowiek kocha tylko siebie same-

go; oszukał mnie, widzę to dobrze, odwlekając ciągle moje wywyższenie; lecz, powtarzam, mam środki pewne, aby ci pomódz wymknąć się bez hałasu; ja mogę tu wszystko zrobić. Każę postawić, zamiast ludzi, na których on liczy, innych, skazanych przez niego na śmierć i siedzących tu blisko, w wieży Północnej, wieży wiecznego więzienia, wysuniętej tam nad wodą. Jego kreatury zastąpią tych ludzi. Pośle lekarza, empiryka, oddanego mi zupełnie, do sławnego kardynała, którego najwięksi uczeni paryzcy opuścili; jeśli porozumiesz się ze mną, da mu on lekarstwo powszechne i wieczne.

— Odejdź!—rzekł Cinq Mars.—Odejdź, mnichu piekielny! Żaden człowiek niepodobny do ciebie, ty nie jesteś człowiekiem; ty stąpasz ukradkiem i cicho w ciemnościach, przesadzasz mury, aby przewodniczyć potajnym zbrodniom; stajesz między sercami kochanków, aby rozdzielić je na wieki. Kto ty jesteś? tyś podobny do udreżonej duszy potępieńca.

— Romansowe dziecko!—rzekł Józef—miałbyś wielkie zalety, gdyby nie twoje błędne pojęcia. Nie ma, być może, ani potępienia, ani duszy. Gdyby dusze zmarłych powracały, aby się skarżyć, miałbym ich tysiące wokoło siebie, a nie widziałem ich nigdy, nawet we śnie.

— Potworze!—rzekł Cinq-Mars półgłosem.

— Oto jeszcze słowo — odparł Józef. — Nie ma potwora, ani człowieka cnotliwego. Ty i imci pan de Thou, którzy bierzecie do serca to, co nazywacie cnotą, o małości nie spowodowali śmierci może stu tysięcy ludzi, hurmem i w jasny dzień, dla niczego, gdy tymczasem Richelieu i ja kazaliśmy stracić o wiele mniej cząstkowo i nocą, aby ufundować wielką władzę. Gdy się chce pozostać uczciwym, nie trzeba zupełnie mieszać się do wywierania wpływu na ludziach, albo raczej, co najstuszniej, widzieć to, co jest,

i mówić sobie, jak ja. Być może, iż dusza nie istnieje, jesteśmy dziećmi przypadku, lecz stosunkowo do innych ludzi, mamy namiętności, które trzeba zadowolnić.

— Oddycham! — zawołał Cinq-Mars. — On nie wierzy w Boga!

Józef mówił dalej:

— Otóż Richelieu, ty i ja przyszliśmy na świat z żądzą panowania; trzeba więc było poświęcić wszystko dla tej idei!

— Nieszczęsny, nie mieszaj mnie z sobą!

— To jednakże czysta prawda — odparł kapucyn—i tylko widzisz teraz, że nasz system był wart więcej od twojego.

— Nędzniku, to przez miłość!...

— Nie, nie, nie!... To nie to wcale. Oto jeszcze słowa, może sądziłeś tak ty sam, ale to było dla ciebie, słyszałem cię mówiącego do tej młodej pani, oboje myśleliście tylko o sobie samych; nie kochaliście się ani jedno, ani drugie: ona myślała tylko o swem dostojeństwie, a ty o swej ambicji. Aby słyszeć o sobie, że się jest doskonałym i widzieć siebie uwielbianym, dlatego chce się być kochanym, to znów i zawsze święte samolubstwo, które jest moim Bogiem.

— Okrutny wężu!—rzekł Cinq-Mars—małoż ci było nam umrzeć? Dlaczego przychodzisz wylewać swój jad na nasze życie, które nam odejmujesz? Jakież zły duch nauczył cię twojej okropnej analizy serce?

— Nienawisć do tego wszystkiego, co jest wyższe nademnie! — odparł Józef z cichym i fałszywym śmiechem—oraz chęć, aby zdeptać nogami tych wszystkich, których nienawidzę, zrobiły mnie ambitnym i przemyślnym w odnalezieniu słabej strony twoich



marzeń. Jest to robak, co pełza aż do środka tych wszystkich pięknych owoców.

— Wielki Boże! czy ty go słyszysz? — zawołał Cinq-Mars, wstając i wznosząc ręce ku niebu.

Samotność jego więzienia, pobożne rozmowy przyjaciela, a zwłaszcza obecność śmierci, co przychodzi, jak światło nieznannej gwiazdy, innych barw wszystkim przedmiotom, zwykłym dla naszego wzroku; rozmyślenia nad wiecznością i (czyż mamy powiedzieć?) wielkie usiłowania, aby zmienić rozpaczliwe swoje żale w nieśmiertelne nadzieje i zwrócić do Boga tę całą siłę kochania, która go sprowadziła z drogi na ziemi; wszystko uczyniło w nim dziwny przewrót i podobna do tych kłosów, co dojrzewają nagle w jednym promieniu słońca, jego dusza nabrała żywszych światłości, przejęta tajemniczym wpływem śmierci.

— Wielki Boże! — powtarzał — jeśli ten i jego pan są ludźmi, czyż ja także jestem człowiekiem? Przypatrz się, przypatrz tym dwom zestawionym ambicyom: jednej samolubnej i krwawej, drugiej poświęcającej się i bez plamy; ich ambicyi, wznieconej przez nienawiść, naszej, natchnionej przez miłość. Patrz, Panie, patrz, sądz i przebac. Przebac, bośmy byli bardzo występni, że sześliśmy przez jeden dzień tą samą drogą, której nadają tylko jedno imię na ziemi, do jakiegokolwiek prowadzi ona celu.

Józef przerwał mu ostro, tupiąc nogą.

— Gdy skończysz swoją modlitwę — rzekł — powiesz mi, czy chcesz mi pomóc, a ocalę cię natchmiast.

— Nigdy, bezwstydnym złoczyńco, nigdy! — odparł Henryk d'Effiat. — Nie przyłączę się do ciebie i do morderstwa! Odrzuciłem je, gdy byłem potężny, i to na tobie samym!

— Źle uczyniłeś; byłbyś teraz panem.

— Eh, jakież szczęście przyniosłaby mi władza, podzielona z kobietą, która mnie nie zrozumiała, kochała słabo i przełożyła nademnie koronę? Gdy mnie opuściła, nie chciałem tego, co nazywają władzą, zawdzięczać zwycięztwu; osądź, czyżbym ją przyjął od zbrodni!

— Niepojęte szaleństwo! — rzekł, śmiejąc się, kapucyn.

— Wszystko z nią, nie bez niej; w tem była cała moja dusza.

— Upierasz się przez zaślepienie i próżność, to niemożliwe! — odparł Józef — to nie leży w naturze.

— Ty, co chcesz zaprzeczyć poświęceniu — od rzekł Cinq-Mars — czy rozumiesz przynajmniej poświęcenie się mojego przyjaciela?

— Ono również nie istnieje; chciał iść za tobą dlatego...

Tu kapucyn, nieco zakłopotany, myślał przez chwilę.

— Dlatego... dlatego... że cię ukształcił, jesteś jego dziełem... Chodzi mu o ciebie przez miłość własną twórcy... Przywykł cię strofować i czuje, że nie znalazłby ucznia tak powolnego, aby go słuchał i chwalił... Stałe przyzwyczajenie w mówiło w niego, iż jego życie zależy od twojego... tak coś w tym rodzaju... towarzyszy ci z nawyknięcia... Zresztą to nie koniec, zobaczymy ciąg dalszy i badanie, zaprzeczy napewno, że wiedział o spisku.

— Nie zaprzeczy temu! — zawołał Cinq-Mars gwałtownie.

— Wiedział tedy o nim, przyznajesz? — rzekł Józef tryumfująco. — Nie mówiłeś nigdy o tem tak dużo...

— O, Boże, co uczyniłem!—jęknął Cinq Mars, zastaniając sobie głowę.

— Uspokój się, będzie ocalony, mimo tego że znania, jeśli przyjmiesz moją propozycję.

D'Effiat pozostał przez chwilę milczący; kapucyn ciągnął dalej:

— Ocal swego przyjaciela... łaska królewska oczekuje ciebie, a może i zbłąkana przez chwilę miłość...

— Człowieku, lub ktokolwiek jesteś, jeśli masz w sobie coś podobnego do serca — odparł więzień — ocal go, to najszlachetniejszy z ludzi. Lecz unieś go ztąd daleko podczas snu, bo jeśli się obudzi, nie będziesz mógł tego uczynić.

— Na cóż mogłoby mi się to przydać? — rzekł kapucyn, śmiejąc się szyderczo.—Ja potrzebuję ciebie i twojej łaski.

Gwałtowny Cinq-Mars podniósł się, schwycił Józefa za rękę i patrząc na niego ze straszonym wyrazem twarzy, zawołał, podnosząc zasłonę, oddzielającą pokój jego przyjaciela od jego pokoju:

— Poniżyłem go, prosząc ciebie dla niego, chodź, złoczyńco, chodź i wąż o poświęceniu i nieśmiertelności duszy... Porównaj niepokój swego tryumfu ze spokojem naszej porażki, nizkość twego panowania z wielkością naszej niewoli i krwawe twoje czuwanie ze snem sprawiedliwego.

Samotna lampa oświetlała de Thou. Młodzieńiec ten był jeszcze na kolanach przed klęcznikiem, zakończonym u góry wielkim krzyżem z kości słoniowej; zdawało się, jakby usnął podczas modlitwy; głowa jego, zwieszona w tył, była jeszcze podniesiona do krzyża; usta uśmiechały się spokojnie i bosko, gdy ciało pochylone spoczywało na kobiercu i poduszce siedzenia.

— Chryste, jak on śpi!—zawołał kapucyn osłu-

piąty, mieszając przez zapomnienie do swych strasznych słów imię niebiańskie, które wymawiał zwykle codziennie.

Potem nagle cofnął się szybko, podnosząc rękę do oczów, jakby olśniony jakąś wizją niebieską...

— Brr... brr... brr... — rzekł, potrząsając głową i przeciągając ręką po twarzy. — To wszystko jest dzieciństwem; zaraziłbym się, gdybym o tem myślał... Te pojęcia mogą być dobre, jak opium dla uspokojenia... Lecz nie o to chodzi: powiedz tak, czy nie?

— Nie! — odparł Cinq-Mars, biorąc go za kark i wyrzucając za drzwi.—Ja nie chcę żyć wcale i nie żałuję, że po raz wtóry zgubiłem de Thou, gdyż on także nie pragnąłbym życia za cenę morderstwa; i gdy się oddał w Narbonne, to nie dlatego, aby się cofnąć w Lyonie.

— Zbudź go tedy, gdyż oto sędziowie! — rzekł głosem cierpkim i ucieszonym zarazem rozwścieczony kapucyn.

W tej chwili weszło, przy świetle pochodni i pod osłoną oddziału gwardyi szkockiej, czterestu sędziów, ubranych w długie, czerwone suknie; rysy ich twarzy z trudnością dawały się odróżnić. Stanęli rzędem i zasiedli w milezeniu z prawej i lewej strony obszernej komnaty; byli to komisarze, wyznaczeni przez księcia kardynała do tej ponurej i uroczystej sprawy. Wszystko ludzie pewni i godni zaufania Richelieu'go, który wybrał ich i wypisał z Tarasconu. Chciał, aby kanclerz przybył sam do Lyonu, „dla uniknięcia,” powiada w instrukcyi, czyli rozkazach, przestanych królowi Ludwikowi XIII przez Chavigny'ego, „dla uniknięcia wszelkich zaczepek, któreby się zdarzyły, gdyby nie było go tam wcale. Imci pan Marillac, dodawał, był w Nantes przy sprawie Chalais'go. Imci pan de

château-Neuf w Tuluzie, przy śmierci imci pana de Montmorency; a imci pan de Bellièvre, w Paryżu, przy sprawie imci pana Birona. Powaga i pojętność, jaką mają ci panowie w rzeczach sprawiedliwości, są konieczne."

Kanclerz Séguier przybył tedy naprędce; lecz w tej chwili oznajmiono, że miał rozkaz nie zjawiać się wcale, z obawy, aby nie wpłynęło na niego wspomnienie jego dawnej przyjaźni dla więźnia, którego widział tylko sam na sam.

Komisarze i on otrzymali najprzód i szybko tchórzliwe zeznania księcia Orleańskiego w Villefranche, w Beaujolais, potem w Vivey, o dwie mile od Lyonu, dokąd ten smutnej pamięci książę, rozplywający się w błaganiach i trzęsący pośród swoich ludzi, których mu zostawiono przez łitość, dobrze strzeżony przez straż francuską i szwajcarską, miał rozkaz się udać. Kardynał kazał podyktować Gastonowi jego rolę i odpowiedzi słowo po słowie; i dzięki tej powolności uwolniono go łaskawie od zbyt przykrych konfrontacyj z Cinq-Marsem i de Thou. Następnie kanclerz i komisarze przygotowali imci pana de Bouillon i wzmocnieni przedwstępna swoją pracą, przyszedli spaść całym swym ciężarem na dwóch młodych winowajców, których nie chciano ocalić.

Historya przechowała nam tylko imiona radców stanu, towarzyszących Piotrowi Séguierowi, lecz nie podała nazwisk innych komisarzy; powiedziano tylko, że było ich sześciu z parlamentu Grenoble i dwóch przewodniczących.

Referent, radca stanu Laubardemont, kierujący nimi we wszystkim, stał na ich czele. Józef mówił im często do ucha z uniżoną grzecznością, patrząc zukosa na Laubardemonta z dziką ironią.

Zostało ułożone, że fotel będzie służył za stół

oskarżonego, i uciszono się dla wysłuchania odpowiedzi więźnia.

Mówił głosem łagodnym i spokojnym.

— Powiedzcie imci panu kanclerzowi, że miałbym prawo odwołać się do parlamentu paryzkiego i nie przyjąć moich sędziów, gdyż jest między nimi dwóch z moich nieprzyjaciół, a na ich czele jeden z moich przyjaciół, sam imci pan Séguier, którego zachowałem na jego urzędzie, lecz oszczędzę wam wielu kłopotów, mości panowie, uznając siebie winnym całego sprzysiężenia, przezemnie jednego zawiązanego i przeprowadzonego. Moją wolą jest umrzeć. Nie mam więc nic do dania dla siebie; lecz jeśli chcecie być sprawiedliwi, darujcie życie temu, którego sam król nazwał najszlachetniejszym człowiekiem Francyi, a który umiera jedynie dla mnie.

— Niechaj go wprowadzą — rzekł Laubardemont.

Dwóch strażników weszło do imci pana de Thou i przyprowadziło go.

Wszedł i skłonił się poważnie z anielskim uśmiechem na ustach, a ściskając Cinq-Marsa, zawołał:

— Oto więc nareszcie dzień naszej chwały! Osiągniemy niebo i szczęście wieczne.

— Dowiadujemy się — rzekł Laubardemont — z samych ust imci pana de Cinq-Mars, że waćpan wiedziałeś o spisku.

De Thou odparł natychmiast i bez żadnego zmieszania, ciągle z półuśmiechem i spuszczonemi oczyma:

— Mości panowie, spędziłem życie swoje na badaniu praw ludzkich i wiem, że świadectwo oskarżonego nie może potępić innego. Mógłbym powtórzyć

także to, co już powiedziałem, że nie uwierzonoby mi, gdybym zadenuncyował bez dowodów brata królewskiego. Widzicie zatem, że moje życie i śmierć są w waszych rękach. Jednakże, gdy przyjrzałem się dobrze jednemu i drugiemu, poznałem jasno, że jakiegokolwiek życia mógłbym kiedyś używać, byłoby ono zawsze nieszczęśliwe po stracie imci pana de Cinq-Marsa; przyznaję się tedy, że wiedziałem o spisku; robiłem, co mogłem, aby go od niego odwrócić. Wierzył, że jestem jego przyjacielem jedynym i wiernym, ja zaś nie chciałem go zdradzić, dlatego potępiam siebie przez prawa, wydane przez mego własnego ojca, który mi przebaczy, mam nadzieję.

Przy tych słowach dwaj przyjaciele padli sobie nawzajem w objęcia.

Cinq-Mars zawołał:

— Przyjacielu, jakże mi żal twojej śmierci! Ja to ją spowodowałem!

Ale de Thou, ściskając go i pocieszając, odpowiadał, wznosząc oczy do góry:

— Ach, jacyśmy szczęśliwi, że kończymy w taki sposób! Po ludzku mówiąc, mógłbym skarżyć się na ciebie, mospanie, ale Bóg wie, jak cię kocham! Cóżesmy uczynili, aby zasłużyć na łaskę męczennika i szczęście wspólnej śmierci?

Sędziowie nie byli przygotowani do tej słodyczy i spoglądali na siebie ze zdziwieniem.

— Ach, gdyby mi tylko dano partyzanę! — odezwał się jakiś głos ochryply (był to stary Grandchamp, który się wślizgnął do komnaty i miał oczy zaczerwienione ze wściekłości), uwolniłbym z pewnością jasnie oświeconego pana od tych wszystkich czarnych ludzi!

Dwóch halabardników podeszło do niego w milczeniu. Grandchamp umilkł i aby się pocieszyć, sta-

nał przy oknie od strony rzeki, gdzie słońce jeszcze się nie pokazywało, i zdawał się nie zwracać uwagi na to, co się odbywało w komnacie.

Jednakże Laubardemont, lękając się, aby sędziowie się nie rozczulili, rzekł głośno:

— Teraz, według rozkazu jasnie oświeconego kardynała, wezmą tych dwóch panów na tortury, to jest na męki zwyczajne i nadzwyczajne.

Cinq-Mars odzyskał swój charakter dzięki oburzeniu, i złożywszy na krzyż ręce, zbliżył się do Laubardemonta i Józefa na dwa kroki, co ich przestraszyło. Pierwszy podniósł mimowoli rękę do czoła.

— Czy jesteśmy tutaj w Loudunie? — zawołał więzień.

Lecz de Thou, podchodząc, wziął go za rękę i uściśnął; Cinq-Mars umilkł i odparł tonem spokojnym, patrząc na sędziów:

— Mościpanowie, to mi się wydaje zbyt ostre; człowiek mojego wieku i stanu nie powinienby podlegać tym wszystkim formalnościom. Wszystko powiedziałem i powiem jeszcze. Przyjmuję śmierć z ochotą i z całego serca: tortury nie są tedy wcale potrzebne. To nie z takich, jak nasze, dusz można wydostać tajemnice przez cierpienia ciała. Zostaliśmy więźniami dobrowolnie i w czasie oznaczonym przez siebie samych; powiedzieliśmy tylko to, co było potrzebne, aby nas skazać na śmierć, nie dowiecie się niczego więcej; mamy to, cośmy chcieli.

— Co robisz, przyjacielu? — przerwał de Thou. — On się myli, mościpanowie; my nie odrzucamy męczeństwa, jakie nam Bóg ofiaruje, my o nie prosimy.

— Ależ — mówił Cinq-Mars — czy potrzebujesz tych haniebnych tortur, aby dostać się do nieba? tyś już męczennik, dobrowolny męczennik przyjął! Mościpanowie, ja jeden mogę mieć ważne tajemnice;

głowa sprzysiężenia zna je najlepiej; połóżcie mnie jednego na męki, jeśli macie postępować z nami jak z najnikczemniejszymi złoczyńcami.

— Przez miłosierdzie, mości panowie — wołał znów de Thou — nie pozbawiajcie mnie tych samych boleści, jakie on przechodzić będzie; nie szedłem za nim tak daleko, aby opuszczać go w tej drogiej goźdlinie i nie dołożyć wszelkich usiłowań, aby towarzyszyć mu aż do nieba.

Podczas tej rozprawy zawiązała się inna między Laubardemontem a Józefem; ten ostatni, obawiając się, aby ból nie zdradził tajemnicy jego rozmowy z Cinq-Marsem, oświadczył się przeciw torturom; tamten, uznając śmierć za niedostateczną dla swego tryumfu, domagał się ich koniecznie. Sędziowie otaczali i słuchali tych dwóch tajnych ministrów wielkiego ministra; jednakże wiele rzeczy kazało im się domyślać, że więźność kapucyna była potężniejsza, niżli sędziego, przechylili się tedy na jego stronę i oświadczyli za ludzkością, gdy skończył temi słowy, wymówionemi pocichu:

— Znam ich tajemnice; nie potrzebujemy wiedzieć o nich, gdyż są bezużyteczne i sięgają za wysoko. Imćpan le Grand może zadenuycyować tylko króla, a imćpan de Thou królowę; o tem zaś lepiej nie wiedzieć. Zresztą, nie powiedzieliby; znam ich, zamilkliby, jeden przez dumę, drugi z pobożności. Dajmy im spokój: tortury ich porania; zostaną zeszpeceni i nie będą mogli iść; to zepsuje całą uroczystość, trzeba zachować ich w dobrem zdrowiu, aby się pokazać.

Ten ostatni względ przeważył, sędziowie oddalili się dla odbycia narady z kanclerzem. Wychodząc, rzekł Józef do Laubardemonta:

— Zostawiłem ci tutaj dosyć przyjemności; te-

raz użyjesz jeszcze jednej, naradzając się, i pójdziesz badać trzech oskarżonych w wieży Północnej.

Byli to trzej sędziowie Urbana Grandier. Rzekł, roześmiał się do rozpuku, i wyszedł ostatni, popychając przed sobą referendarza w radzie stanu, oślepiałego ze zdziwienia.

Zaledwie ponury sąd się oddalił, gdy Grandchamp, uwolniony od owych dwóch drabantów, rzucił się ku swemu panu i, ściskając go za rękę, rzekł do niego:

— Na litość Boską, chodź na taras, jaśnie oświecony panie, pokażę ci coś, w imię twojej matki, chodź...

Lecz prawie w tej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł stary ksiądz Quillet.

— Moje dzieci! moje biedne dzieci! — wołał starzec, płacząc; — niestety! dlaczegoż pozwolono mi wejść dopiero dzisiaj? Drogi Henryku, twoja matka, twój brat, twoja siostra, są tu ukryci...

— Cicho, mości księżo — mówił Grandchamp — chodź na taras, jaśnie oświecony panie!

Lecz stary kapłan wstrzymywał swego ucznia, ściskając go.

— Spodziewamy się, spodziewamy bardzo ułaskawienia.

— Odrzuciłbym je — rzekł Cinq-Mars.

— My spodziewamy się tylko łaski Bożej — odparł de Thou.

— Cicho — przerwał znów Grandchamp — sędziowie nadechodzą.

Wistocie, drzwi otworzyły się znów i weszła ponura procesya, w której było brak tylko Józefa i Laubardemonta.

— Mości panowie — zawołał poczciwy ksiądz, zwracając się do komisarzów — szczęśliwy jestem, iż

mogę wam powiedzieć, że przybywam z Paryża, gdzie nikt nie wątpi o utaskawieniu wszystkich sprzysiężonych. Widziałem u jego królewskiej mości brata królewskiego we własnej osobie, a co do księcia de Bouillon, protokuł indagacyi nie jest dla niego nieko...

— Milczenie! — zawołał imépan de Ceton, pułkownik gwardyi szkockiej.

I weszło czternastu komisarzów i ustawiło się nanowo w komnacie.

Imépan de Thou, słysząc, że wołają pisarza sądowego lyońskiego trybunału dla odczytania wyroku, wybuchnął mimowolnie jednym z tych uniesień radości religijnej, jakie objawiały się niegdyś tylko w Męczennikach i Świętych przy zbliżaniu się śmierci; i podchodząc do tego człowieka, zawołał:

— *Quam speciosi pedes evangelirantium pacem, evangelirantium bona!*

Poczem, wzięwszy Cinq-Marsa za rękę, padł na kolana i z odkrytą głową, aby słuchać wyroku, jak było rozkazane. D'Effiat pozostał w stojącej postawie, lecz nie śmiano zmusić go, aby ukląkł.

Wyrok został im odczytany w tych słowach:

„Między królewskim prokuratorem jeneralnym, powodem w sprawie zbrodni obrazy majestatu, z jednej strony;

„A jegomością panem Henrykiem d'Effiat de Cinq-Mars, wielkim koniuszym Francyi, liczącym lat dwadzieścia dwa, i Franciszkiem Augustem de Thou, liczącym lat trzydzieści pięć, radcą króla w jego posiedzeniach rady, uwięzionymi na zamku de Pierre-Encise de Lyon, obrońcami i oskarżonymi, z drugiej strony;

„Zważywszy na sprawę nadzwyczajnie przeprowadzoną na żądanie rzeczzonego prokuratora jeneralnego króla przeciw rzeczonym d'Effiat i de Thou,

zważywszy na śledztwa, badania, zeznania, zaprzeczenia i konfrontacye, oraz rozpoznane kopie traktatu zawartego z Hiszpanią, delegowany trybunał, biorąc pod uwagę,

„1<sup>o</sup> Że ten, co popełnia zamach na osobę ministrów, książąt, jest uważany przez dawne prawa i ustanowienia cesarzów za winnego obrazy majestatu;

„2<sup>o</sup> Że trzecie postanowienie króla Ludwika XI oznacza karę śmierci dla tego, ktokolwiek nie doniesie o sprzysiężeniu przeciwko państwu;

„Komisarze wysłani przez jego królewską mość uznali rzeczonych d'Effiat i de Thou za przekonanych o przestępstwo obrazy majestatu, mianowicie:

„Rzeczony d'Effiat de Cinq-Mars za spiski i zamachy, związki i traktaty, poczynione przez niego z zagranicą przeciwko państwu;

„I rzeczony de Thou za to, że wiedział o wzmiankowanych zamachach;

„Dla zadość uczynienia za rzeczzone zbrodnie, pozbawili ich wszelkich zaszczytów i dostojęństw i skazali ich i skazują na ścięcie na rusztowaniu, które w tym celu zostanie wzniesione na placu des Terreaux w tem mieście;

„Uznali i uznają wszelkie i każde oddzielnie wzięte z ich dóbr ruchomości i nieruchomości za nabyte i zabrane na rzecz króla; te zaś otrzymane przez nich bezpośrednio od korony za przyłączone do posiadłości teje; na tychże uprzednio zabezpieczona zostaje suma 60,000 liwrów dla rozdania między biednych”.

Po odczytaniu wyroku, imépan de Thou rzekł głośno:

— Dzięki Bogu! Chwała Bogu!

— Śmierć nie była nigdy dla mnie straszna — rzekł zimno Cinq-Mars.

Wtedy to, według przepisów, imépan de Ceton, porucznik gwardyi szkockiej, starzec sześćdziesięcioletni, oświadczył ze wzruszeniem, iż oddaje więźniów w ręce pana Thomé, lyońskiego wójta miejskiego, i pożegnał się z nimi, co uczynili następnie również wszyscy gwardziści w milczeniu i ze łzami w oczach.

— Nie płaczcie — mówił do nich Cinq-Mars — łzy są niepotrzebne; ale raczej módlcie się za nas do Boga i bądźcie pewni, że nie lękamy się śmierci.

Ścisnął im rękę, a de Thou ich całował. Potem gwardziści wyszli, z oczami wilgotnymi od łez, zasłaniając sobie twarze płaszczami.

— Okrutni! — powiedział ksiądz Quillet — aby znaleźć broń przeciwko nim, musieli szperać w arsenałach tyranów. Dlaczego pozwolono mi wejść w tej chwili?...

— Jako spowiednikowi, mości księżu — rzekł cicho jeden z komisarzów; gdyż od dwóch miesięcy nie było wolno nikomu obcemu wejść tutaj...

Jak tylko wielkie drzwi zostały znów zamknięte i spuszczone zasłony:

— Na taras, w imię Boga! — zawołał znów Grandchamp. I pociągnął tam swego pana i de Thou.

Stary gubernator poszedł za nimi, kulejąc.

— Czego chcesz od nas w podobnej chwili? — rzekł Cinq-Mars z powagą pełną pobłażania.

— Spójrz na łańcuchy miasta — rzekł wierny służący.

Wschodzące słońce dopiero co zaczęło barwić niebo. Ukazywało się na widnokręgu linią jasną i żół-

tą, na której góry zarysowywały ostro swoje kształty ciemno-niebieskie; fale Saony i łańcuchy miasta, przeciągnięte z jednego brzegu do drugiego, były jeszcze zasłonięte lekką parą, wznoszącą się także od strony Lyonu i kryjącą przed okiem dachy domów. Pierwsze promienie rannego światła zabarwiały dopiero najwyższe szczyty wspaniałego krajobrazu. W mieście, dzwonnice na ratuszu i Saint-Nizier, na otaczających pagórkach, klasztory Karmelitów i Najświętszej Maryi Panny, oraz cała warownia Pierre-Encise, były ozłoczone wszystkimi blaskami zorzy. Z wiosek dochodził odgłos grających miarowo dzwonów. Jedne mury więzienia milczały.

— A więc — rzekł Cinq-Mars — cóż mamy oglądać? czy piękność równin, czy bogactwo miasta? czy spokój tych wiosek? Ah! moi przyjaciele, są tam wszędzie namiętności i bóle, podobne do tych, co sprowadziły nas tutaj!

Stary ksiądz i Grandchamp przechylili się na przedpiersie tarasu, aby patrzeć w stronę rzeki.

— Mgła zbyt gęsta: nic jeszcze nie widać! — rzekł ksiądz.

— Jakże powoli wschodzi ostatnie nasze słońce! — mówił de Thou.

— Czyż nie dostrzegacie w dole, u stóp skał, na tamtym brzegu białego domku, między bramą d'Halincourt a wałem Świętego Jana? — zapytał ksiądz.

— Nic nie widzę — odparł Cinq-Mars — tylko szarawe jakieś mury.

— Przekłeta mgła! — rzekł Grandchamp, przechylony ciągle naprzód, jak marynarz, co się opiera na ostatniej desce grobli portowej, aby dostrzedz żagiel na widnokręgu.

— Cicho! — rzekł ksiądz — rozmawiają niedaleko od nas.

W istocie, niewyraźny szmer, głuchy i niewytłomaczony, dawał się słyszeć w małej wieżyczce, przylegającej do płaskiego pokrycia tarasu. Ponieważ nie była ona wcale większa od gołębnika, więźniowie nie zauważyli jej prawie dotąd.

— Czyż idą już po nas? — rzekł Cinq-Mars.

— Ba! ba! — odparł Grandchamp — nie troszcz się o to; to wieża ciemnie. Już od dwóch miesięcy kręcę się koło zamku, i widziałem jak ztamtąd wrzucano ludzi do wody, przynajmniej raz na tydzień. Myślmy o sobie: widzę światło tam w oknie.

Nieprzewyciężona ciekawość skłoniła jednak dwóch więźniów do rzucenia okiem na wieżyczkę, mimo całej grozy ich położenia. Wysuwała się ona istotnie po za prostopadłą skałą i ponad przepaścią, napełnioną zieloną wrzącą wodą, w rodzaju bezużytecznego źródła, jakie zabłąkana odnoga Saony tworzyła między skałami na straszliwej głębini. Było tam widać obracające się koło opuszczonego oddawna młyna. Usłyszano trzykrotnie trzask podobny do trzeszczenia zwodzonego mostu, gdy się opuszcza i podnosi nagle jak na sprężynach, uderzając o kamień murów, i trzykrotnie ujrzano, jak coś czarnego wpadło do wody i prysnęło pianą na znaczną wysokość.

— Gwałtu! czyżby to byli ludzie? — zawołał ksiądz, żegnając się.

— Zdaje mi się, że widziałem szare suknie, powiewające w powietrzu — rzekł Grandchamp; — to przyjaciele kardynała.

Okropny krzyk wyszedł z wieży z bezbożnem przekleństwem.

Ciężka łapka jęknęła po raz czwarty. Zielona woda przyjęła z szumem nowy ciężar, pod którym zatrzęszczało ogromne koło młyna, jeden z jego szerokich promieni został złamany i jakiś człowiek, przy-

walony spróchniałymi belkami ukazał się zpośród piany, zabarwionej jego czarną krwią, zakręcił się dwukrotnie, krzyżując, i zapadł w wodę. Był to Laubardemont.

Zdjęty aż do głębi zgrozą, Cinq-Mars cofnął się.

— To prawdziwa Opatrzność — rzekł Grandchamp — Urban Grandier zapozwał go za trzy lata. Dalej, dalej, czas drogi; moi panowie, nie stójcież tak bezczynnie; czy to on, czy nie on, nie dziwi mnie to wcale, gdyż te łajdaki pożerają się nawzajem, jak szczury. Starajmyż się odebrać im najlepszy kawałek. Na Boga żywego, widzę sygnał! Jesteśmy ocaleni; wszystko gotowe; pośpiesz w tę stronę, moi książe. Oto biała chustka w oknie; nasi przyjaciele są przygotowani.

Ksiądz pochwyił natychmiast za rękę każdego z dwu przyjaciół i pociągnął ich w stronę tarasu, na który naprzód zwrócili swe oczy.

— Słuchajcie mnie obydwaj — rzekł im: — dowiedzcie się, że żaden ze sprzysiężonych nie chciał korzystać ze schronienia, jakie im zapewniliście; przybiegli wszyscy do Lyonu, przebrani i w wielkiej liczbie; wydali w mieście dosyć złota, aby ich nie zdradzono; chcą spróbować napaść niespodzianie, ażeby was uwolnić. Wybrano do tego chwili, w której posłuży twój kapelus, włożysz go na głowę, gdy trzeba będzie zacząć.

Pocziwy ksiądz, na wpół płacząc, nawpół się uśmiechając, dzięki powstającej w nim nadziei, opowiedział, że w czasie aresztowania swego ucznia, przybiegł do Paryża; że taka tajemnica otaczała wszystkie czynności kardynała, że nikt nie wiedział tam o miejscu uwięzienia wielkiego koniuszego; wielu mówiło, że został wywołany z kraju; a gdy się dowiedziano o ugodzie brata królewskiego i księcia de



Bouillon z królem, już nie wątpiono, że życie innych zostało zapewnione i przestano mówić o tej sprawie, która narażała mało osób, nie pociągnawszy za sobą żadnej krwawej egzekucji. W Paryżu nawet poniekał się ucieszono, że miasto Sedan i jego terytorium zostały przyłączone do królestwa wzamian listów umarzających, łaskawie udzielonych imci panu de Bouillon, uznanemu, jak brat królewski, za niewinnego, że wynik wszystkich uporządkowań kazał podziwiać zręczność kardynała i jego łaskawość względem spiskowców, którzy, mówiono, chcieli jego śmierci. Rozpuszczano nawet pogłoskę, że kazał uciec Cinq-Marsowi i de Thou, zajmując się wspaniałomyślnie ich schronieniem za granicą, po odważnem aresztowaniu ich w obozie pod Perpignanem.

W tem miejscu opowiadania, Cinq-Mars nie mógł się wstrzymać od zapomnienia o swojej rezygnacji i, ściskając rękę przyjaciela:

— Po aresztowaniu!—zawołał;—mamyż wyrzec się nawet zaszczytu, żeśmy się oddali dobrowolnie? Mamyż wszystko poświęcić, aż do opinii potomności?

— Przemówiła jeszcze próżność — odparł de Thou, kładąc palec na ustach; — ale sza! słuchajmy księdza do końca.

Guwerner, nie wątpiąc, że spokój tych dwóch młodzieńców pochodził z radości, jaką odczuwali wobec zapewnionej sobie ucieczki, i widząc, że słońce nie rozproszyło jeszcze zupełnie mgieł poranku, oddał się bez przymusu tej przyjemności mimowolnej, jaką odczuwają starcy, opowiadając o wypadkach nowych, chociażby smutnych. Powiedział im o wszystkich swoich bezowocnych trudach, podjętych w celu odkrycia miejsca ucieczki swego ucznia, o którym nie wiedział ani dwór, ani stolica, gdzie nie śmiano nawet wymówić jego imienia w najtajniejszych zakątkach. Dowiedział się o uwięzieniu w Pierre-Encise dopiero od

samej królowej, która kazała go łaskawie do siebie przywołać i poleciła mu zawiadomić o tem marszałkową d'Effiat i wszystkich sprzysiężonych, aby spróbowali w rozpaczliwym wysiłku uwolnić swego młodego wodza. Anna Austryacka odważyła się nawet posłać znaczną ilość szlachty z Owernii i Turenii do Lyonu, aby pomódz temu ostatniemu usiłowaniu.

— Poczciwa królowa! — rzekł — płakała bardzo, gdy ją widziałem, i mówiła, że oddałaby wszystko, co posiada, aby was ocalić; czyniła sobie wiele wyrzutów z powodu jakiegoś listu, nie wiem jakiego. Mówiła o zbawieniu Francji, lecz nie tłumaczyła się jaśniej. Powiedziała mi, że cię uwielbia i zaklina, abyś się ratował, choćby przez litość dla niej, gdyż zostawiłbyś jej wieczne wyrzuty sumienia.

— Czy nie powiedziała nic więcej? — przerwał de Thou, podtrzymując błędącego Cinq-Marsa.

— Więcej nic—odparł starzec.

— I nikt nie mówił ci o mnie?—zapytał wielki koniuszy.

— Nikt—odparł ksiądz.

— Gdybyż choć do mnie napisała!—rzekł Henryk półgłosem.

— Pamiętaj, mój ojcze, że zostałeś tu przysłany jako spowiednik—powiedział de Thou.

Tymczasem stary Grandchamp, znajdujący się u kolan Cinq-Marsa, ciągnąc go za ubranie w inną stronę tarasu, wołał przerywanym głosem:

— Jaśnie oświecony panie... panie mój... panie... czy widzisz ich? oto są... to oni, to one... wszystkie.

— Któż taki, mój stary przyjacielu?—pytał jego pan.

— Kto? wielki Boże! Patrz na to okno, czyż ich nie poznajesz? Twoja matka, twoje siostry, twój brat!

W istocie, dzień już zupełny pozwolił mu widzieć w oddali kobiety, powiewające białymi chustkami: jedna z nich, czarno ubrana, wyciągnęła swe ramiona w stronę więzienia, cofała się od okna, jakby dla nabrania sił, poczem podtrzymywana przez inne, ukazywała się znów i otwierała ramiona, lub kładła rękę na sercu.

Cinq-Mars poznał swoją matkę i swoją rodzinę i siły opuściły go na chwilę. Zwiesił głowę na pierś swego przyjaciela i zapłakał.

— Ileż razy trzeba mi będzie umierać? — rzekł.

Poczem, odpowiadając z wysokości wieży ruchem ręki na znaki swojej rodziny:

— Schodźmy prędko, mój ojcze — odrzekł staremu księdzu; — powiesz mi w trybunale pokuty i przed Bogiem, czy resztką mego życia warta jeszcze, abym kazał przelewać krew dla jej zdobycia.

Wtedy to Cinq-Mars powiedział Bogu to, co on jeden i Marya Mantuańska wiedzieli o swych tajemnicach i nieszczęsnej miłości. „Wręczył, mówi ojciec Daniel, wizerunek wielkiej damy, cały otoczony dyamentami, które miały być sprzedane, a otrzymane za nie pieniądze rozdane między ubogich”

Co do imcipana de Thou, ten po odbyciu spowiedzi, napisał list<sup>1)</sup>: „Poczem (według opowiadania jego spowiednika) rzekł do mnie: „Oto ostatnia myśl, jaką chcę mieć dla tego świata: jedźmy do raję.” A przechadzając się wielkimi krokami po komnacie, odmawiał głośno psalm *Miserere mei Deus* i t. d., z żarliwością nie do uwierzenia i z tak gwałtownymi wstrząśnieniami na całym ciele, że możnaby powiedzieć, iż nie dotykał się ziemi i jakby miał wyjść

<sup>1)</sup> Do księżnej de Guéménée.

sam z siebie. Straż milczała wobec takiego widowiska, które kazało jej samej drzeć z poszanowania i zgrozy.”

Jednakże wszystko było spokojne 12 tegoż samego miesiąca września 1642 w mieście Lyonie, gdy ku wielkiemu zdziwieniu jego mieszkańców, ujrzano z nastaniem dnia przybywające przez wszystkie bramy oddziały piechoty i jazdy, o których wiedziano, że stały obozem bardzo daleko. Gwardye francuskie i szwajcarskie, pułki Pompadoura, zbrojni Maurevert'a i karabinierzy La Roque'a wszystko przeciągnęło w milczeniu; jazda z muszkietem opartym na kuli u siodła stanęła rzędem naokoło zamku Pierre-Encise; piechota utworzyła szpaler na brzegach Saony, od bramy warowni aż do pałacu des Terreaux. Było to zwykle miejsce kaźni.

Cztery kompanie mieszczan lyońskich, nazywane chorągwią, liczące około 1,200 ludzi, „zostały ustawione, powiada dziennik Montrésora, na placu des Terraux w ten sposób, że zamykały przestrzeń około osiemdziesięciu kroków z każdej strony, dokąd nie pozwalano wchodzić nikomu, chyba tylko tym, co byli potrzebni.

„W środku tej przestrzeni zostało wzniesione rusztowanie, mające siedem stóp wysokości i około dziewięciu stóp w kwadrat, na którym wysunięty nieco naprzód wznosił się kocioł, mający około trzech stóp wysokości, przed nim zaś leżał kloć wysoki na pół stopy, tak, że główna facyata, czyli przód rusztowania zwrócony był do szlachtuza des Terraux, od strony Saony; o toż rusztowanie stała oparta drabinka

o ośmiu szezeblach, od strony Zgromadzenia Panien pod wezwaniem Świętego Piotra."

Nie wiadomo nic w mieście o nazwisku więźniów, niedostępne mury warowni otwierały się tylko w nocy i w głębokich jej ciemnicach nieraz ojciec i syn siedzieli zamknięci przez całe lata, o cztery stopy jeden od drugiego, nie domyślając się tego nawet.

To też wobec tak świetnego przygotowania zdziwienie było nadzwyczajne i zewsząd biegły tłumy, nie wiedząc, czy tu chodziło o jakąś uroczystość, czy wymiar sprawiedliwości.

Ta sama tajemnica, zachowana przez agentów ministra, była również starannie ukryta przez spiskowców, gdyż ich głowa odpowiadała zato.

Montrésor, Fontrailles, baron de Beauveau, Olivier d'Entraigues, Gondi, hrabia de Lude i obrońca Fournier, przebrani za żołnierzy, robotników i skoczków, uzbrojeni w sztylety pod ubraniem, rozrzucili i rozdzielili w tłumie przeszło pięćset szlachty i słujących, przebranych jak oni; konie były przygotowane na drodze do Włoch, a łodzie na Rodanie naprzód opłacone.

Młody margrabia d'Effiat, starszy brat Cinq-Marsa, w habicie kartuza, przebiegał tłum, chodził tam i z powrotem bezustanku z placu des Terreaux do małego domku, gdzie jego matka i siostra były zamknięte z prezydentową de Pontac, siostrą nieszczęsnego de Thou. Uspokajał je, dawał im trochę nadziei i powracał do sprzysiężonych, aby się przekonać, czy każdy z nich gotów był do czynu.

Każdy żołnierz, tworzący szpaler, miał przy boku człowieka, który gotów był go zasztyletować. Niezliczony tłum, zgromadzony po za linią straży, pchał je naprzód, występował przed linię i zmuszał do usuwania się w tył.

Służący Ambrosio, ów Hiszpan, zatrzymany przez Cinq-Marsa, zajął się kapitanem kopijników, i przebrany za grajka katalońskiego, wszczął z nim sprzeczkę, udając, że nie chce przestać grać na kobzie. Każdy był na swoim stanowisku.

Książd de Gondi, Oliwier d'Entraigues i margrabia d'Effiat stali w tłumie rybaczek i sprzedających ostrygi, które się kłóciły i krzyczały w niebogłosy. Wymyślały jednej z pośród siebie, młodszej i bojaźliwszej, niż jej energiczne towarzyszki. Brat Cinq-Marsa podszedł, aby słuchać kłótni.

— Ehl! dlaczego — mówiła napadnięta — chcecie, aby Jan Le Roux, który jest uczciwym człowiekiem, ucinął głowę dwom chrześcianom, dlatego, że jest rzeźnikiem z zawodu? Dopóki będę jego żoną, nie pozwolę na to, wolałabym raczej...

— Jesteś głupia — odpowiedziały jej towarzyszki; — co ci to szkodzi, czy mięso, które on tnie, jest do jedzenia, czy nie? Niemniej prawda, że miałabyś sto talarów na ubranie dla swych trojga bachorów. Powinnaś być szczęśliwa, iż jesteś małżonką rzeźnika. Korzystaj więc, moja pieczeszko, z tego, co ci Bóg zsyła przez łaskę jego przewiełbności.

— Zostawcie mnie w spokoju — odrzekła pierwsza — nie chcę. Widziałam tych dwóch pięknych młodzieńców w oknie, mają minę łagodną, jak baranki.

— Więc cóż, czy nie zabijają twoich baranków i cieląt? — mówiła kobieta, nazwiskiem Le Bon. — I takiej kobiecie się szczęści! Co za litość! gdyby tak mówił czcigodny ojciec Kapucyn, no, to\* jeszcze!

— Jakże okropna ta wesołość ludu! — zawołał Oliwier d'Entraigues nierozważnie.

Wszystkie te kobiety usłyszały jego słowa i zaczęły szemrać przeciw niemu.

— *Ludu!* — powtórzyły — a zkądże się wziął ten mularczyk z tym gipsem na ubraniu?

— Ah! — przerwała inna — czyż nie widzisz, że to jakiś przebrany szlachciec? Przyjrzyj się białym jego rączkom; toto nigdy nie pracowało.

— Tak, tak, to jakiś spiskowiec-modniś; mam wielką chęć iść po imcipana kawalera du Guet, aby kazał go aresztować.

Ksiądz de Gondi zrozumiał całe niebezpieczeństwo tego położenia i rzucając się niby z gniewem na Oliwiera, ze wszystkimi ruchami stolarza, którego przywdział strój i fartuch, krzyknał, chwytając go za koltierz:

— Macie słuszność, to hultaj, nigdy mu się nie chce pracować. Od dwóch lat, jak mój ojciec oddał go do terminu, nic nie robi, tylko czesze jasne swoje włosy, aby się podobać dziewczętom. Dalej, marsz do domu!

I bijąc go niby kulakami, przeprowadził przez tłum i stanął z innej strony szpaleru. Przedtem jednak, dawszy burę nierozważnym paziowi, prosił go o list, który miał być, jak mówił Oliwier, doręczony przez niego Cinq-Marsowi, gdy będzie na wolności. Oliwier nosił go od dwóch miesięcy w swojej kieszeni i dał go księdzu, mówiąc:

— To od jednego więźnia do drugiego; bo kawaler de Jars, wychodząc z Bastylii, przesłał mi go od jednego ze swych towarzyszków niewoli.

— Dalibóg — rzekł Gondi — może tu być jakaś tajemnica ważna dla naszego przyjaciela; otworze go, powinieneś być pomyśleć o tem wcześniej.

— Ah! ba! to od starego Bassompierre'a. Czytajmy.

„Kochane moje dziecko!  
„Dowiaduję się z głębi Bastylii, gdzie się je-

szcze znajduję, że chcesz uknuć spisek przeciw temu tyranowi Richelieuemu, co nie przestaje upokarzać poczciwej starej naszej szlachty i parlamentów i podkopywać u podstaw budowli, na której opierało się państwo. Dowiaduję się, że szlachta została opodatkowana i podlega małym sądom, wbrew przywilejom swego stanu, zmuszona do pospolitego ruszenia, wbrew dawnym zwyczajom...”

— Ah! stary pleciuga! — przerwał paż, śmiejąc się do rozpuku.

— Nie tak głupi, jak sądzisz; tylko nieco oddalony co do naszej sprawy.

„Mogę jeno przyklasnąć temu szlachetnemu zamiarowi, i proszę cię o pomoc w zasięgnięciu języka o wszystkim...”

— Ah! stare wyrażenie z czasów ostatniego panowania! — rzekł Oliwier — nie wiedział, jak napisać: w nabraniu ekspertyzy, jak mówią teraz.

— Pozwól mi czytać, dla Boga — powiedział ksiądz; — za sto lat będą sobie kpili tak samo z naszych wyrażań.

I czytał dalej:

„Mogę ci udzielić dobrej rady, choć jestem już stary bardzo, gdy ci opowiem, co mi się zdarzyło w R. P. 1560.”

— Ah! dalibóg, nie mam czasu na czytanie tego wszystkiego. Zobaczmy koniec.

„Gdy sobie przypomnę o obiedzie u pani marszałkowej d'Effiat, twojej matki, i gdy zapytuję siebie, co się stało ze wszystkimi gośćmi, smutek ogar-

nia mnie prawdziwie. Biedny mój Puy-Laurens umarł w Vincennes, że został zapomniany przez brata królewskiego w więzieniu; de Launay zabity w pojedynku, mnie zaś przyczynił zmartwienia; gdyż pomimo, że miał już rozkaz aresztowania mnie, udawał, jakby o niczem nie wiedział, ujmując mnie swoją grzecznością, ja zaś miałem go zawsze za człowieka honoru. Co do mnie, siedzę oto pod kluczem do końca życia imeipana kardynała; bo też, moje dziecko, było nas trzysta osób przy stole: nie trzeba sobie dworować ze starych wierzeń. Dziękuj Bogu zato, że chociaż ciebie jednego nie spotkał jaki traf nieszczęśliwy...”

— Aha, znów trafił!—rzekł Oliwier, śmiejąc się z całego serca; tym razem i ksiądz de Gondi nie mógł utrzymać swojej powagi, mimo usiłowań.

Podarli niepotrzebny list, aby nie przedłużać jeszcze uwięzienia biednego marszałka, gdyby został znaleziony, i zbliżyli się do szpaleru gwardzistów, na których miano uderzyć, gdy młody więzień da znak kapeluszem.

Widzieli z zadowoleniem wszystkich swoich przyjaciół na stanowisku i gotowych do gry nożów, według własnego ich wyrażenia. Lud, cisnąc się koło nich, sprzyjał im bezwiednie.

W tej chwili właśnie nadszedł szereg młodych panien, biało ubranych za welonami; szły do kościoła, aby przyjąć komunię, a prowadzące je zakonnice, sądząc, jak wszystek lud, że ten orszak przeznaczony był do oddania honorów jakiemuś wielkiemu dostojnikowi, pozwoliły im wejść na szerokie ciosowe kamienie, nagromadzone po za żołnierzami. Tam stanęły z wdziękiem właściwym swemu wiekowi, jak dwadzieścia pięknych posągów na jednym piedestale. Można było wziąć je za westalki, które starożytni za-

praszałi na krwawe widowiska gladyatorów. Mówiły sobie do ucha, patrząc wkoło siebie, śmiały się i rumieniły zarazem, jak to czynią dzieci. Ksiądz de Gondi zobaczył z niezadowoleniem, że Oliwier zapominał znów o swej roli spiskowca i o swym stroju mularskim i strzelał do nich oczyma, przybierając postawę zbyt wytworną i ruchy zbyt ułożone, jak na stan, jaki miano mu przypisywać; zaczynał już zbliżać się do nich, układając palcami swoje włosy, gdy Fontrailles i Montrésor, na szczęście, nadeszli w ubraniu żołnierzy szwajcarskich; zastęp szlachty, przebranej za flisów, poszedł za nimi z kijami okutymi żelazem w rękę; na twarzy ich była bladeść, nie zwiastująca nic dobrego. W oddali trąby zagrały marsza.

— Zostańmy tu — rzekł jeden z nich do swego orszaku;—to tu.

Ponury wygląd i milczenie tych widzów odbijał szczególnie przy wesołych i ciekawych spojrzeniach młodych dziewcząt i przy dziecinnej ich mowie.

— Ah! piękny orszak!—wołały—oto conajmniej pięciuset żołnierzy w pancerzach i czerwonych ubraniach, na pięknych rumakach; mają żółte pióra na swych wielkich kapeluszach.

— To są cudzoziemcy, Katalończycy — rzekł francuski gwardzista.

— Kogoż oni prowadzą?

— Patrzcie, jaka piękna złocona karetka! lecz niema w niej nikogo.

— Ah! widzę trzech ludzi, idących pieszo; dokąd oni idą?

— Na śmierć! — rzekł Fontrailles ponurym głosem, nakazując milczenie wszystkim głosom.

Słychać było już tylko powolne stąpanie koni, które się nagle zatrzymały przez jedno z tych opóźnień, jakie się zdarzają w pochodzie wszelkiego orszaku. Ujrzano wtedy bolesne i niezwykle widowi-

sko. Starzec z tonsurą na głowie szedł z trudnością, łkając, podtrzymywany przez dwóch młodzieńców ujmującej i czarującej postaci, którzy sobie podawali rękę po za przygarbionemi jego plecami, podczas gdy drugą każdy z nich podpierał jedno z jego ramion. Ten, co szedł z lewej strony, miał strój czarny; był poważny i miał spuszczone oczy. Drugi, o wiele młodszy, był ubrany świetnie<sup>1)</sup>: kaftan z holenderskiego sukna, pokryty szerokimi złotemi koronkami, z bufiastemi i haftowanemi rękawami, osłaniał go od szyi do pasa, przypominając bardzo stanik niewiast; reszta jego ubrania z czarnego aksamitu, haftowanego w srebrne palmy, stalowej barwy ciżmy z czerwone-mi obcasami, przy których były złote ostrogi, wszystko podnosiło wdzięk jego postawy giętkiej i wykwin-nej. Klaniał się na prawo i lewo szpaleru, z melancholijnym uśmiechem.

Stary służący, z białemi wąsami i brodą, szedł z tyłu, z pochylonem czołem, prowadząc dwa bojowe rumaki, odziane pokrową.

Młode panienki umilkły; lecz widząc ich, nie mogły powstrzymać się od łkania.

— To więc tego biednego starca na śmierć prowadzą? — zawołały; — jego dzieci podtrzymują go.

— Na kolana, panienki! — rzekła zakonnica — módlcie się za niego.

— Na kolana! — zawołał Gondi — módlmy się, aby Bóg ich ocalił.

Wszyscy spiskowcy powtórzyli: Na kolana! na kolana! i dali przykład ludowi, który naśladował ich w milczeniu.

— Możemy teraz lepiej widzieć jego porusze-

<sup>1)</sup> Wizerunek imcipana de Cinq-Marsa znajduje się w muzeum Wersalskiem.

nia — rzekł pocichu Gondi do Montrésora — wstań; co on robi?

— Zatrzymał się i mówi w naszą stronę, witając nas; zdaje mi się, że nas poznaje.

Wszystkie domy, okna, mury, dachy, wzniesione rusztowania, wszystko, co pozwalało widzieć plac, było przepełnione ludźmi wszystkiego stanu i wieku.

Najgłębsze milczenie panowało nad tłumem niezmiernym; można było usłyszeć lot komarów rzecznych, tchnienie najmniejszego wiatru, spadanie unoszonych przez niego ziarenek pyłu; lecz powietrze było spokojne, słońce jaśniejące, niebo błękitne. Wszystek lud słuchał. Tuż zaraz był plac des Torreaux; usłyszano uderzenia młota w deski, potem głos Cinq-Marsa.

Jakiś młody kartuz, o twarzy wybladłej, wsunął swoją głowę pomiędzy dwóch gwardzistów; wszyscy sprzyśnięci wstali, wznosząc się ponad lud kłęczący i każdy z nich sięgnął jedną ręką do pasa lub w zanadrze, a drugą położył 'oniemal na karku żołnierza, którego miał zasztyletować.

— Co on robi? — zawołał kartuz. — Czy ma kapelusz na głowie?

— Rzuca kapelusz daleko od siebie na ziemię — odrzekł spokojnie zapytany żołnierz.

## ROZDZIAŁ XXVI.

## UROCZYŚĆ.

Mój Boże! czemu jest ten świat?  
*Ostatnie słowa imci pana de Cinq-Mars.*

Tego samego dnia i w czasie pochodu złowrogiego lyońskiego orszaku, oraz scen dopiero co przez nas widzianych, wspaniała uroczystość odbywała się w Paryżu, z całym zbytkiem i złym smakiem owego czasu. Można kardynał chciał olśnić swoją wystawnością dwa pierwsze miasta Francji zarazem.

Pod nazwą otwarcia pałacu kardynalskiego zwiastowaną tę uroczystość wydano dla króla i całego dworu. Będąc panem królestwa przez siłę, chciał jeszcze być panem umysłów przez ponętę, a zmęczony panowaniem, miał nadzieję podobać się. Tragedya „Mirame” miała być przedstawiona w umyślnie na ten wielki dzień zbudowanej sali, co podniosło kosztą tej zabawy, powiada Péliссon, o trzysta tysięcy talarów.

Cała gwardya pierwszego ministra <sup>1)</sup> była pod bronią; jego cztery kompanie muszkietierów i zbrojnych stały rzędem, tworząc szpaler na obszernych schodach i u wejścia do długich galeryj pałacu kardynalskiego <sup>2)</sup>. To świetne Pandémonium, gdzie grzechy śmiertelne mają świątynię na każdym pięttrze, należało w dniu owym tylko do pychy, która je zajmowała od góry do dołu. Na każdym stopniu stał jeden ze strzelców z gwardyi kardynała, trzymając w jednej ręce pochodnię, a długą rusznicę w drugiej; tłum jego szlachty krążył między temi żywymi świecznikami, podczas gdy w wielkim ogrodzie, okolonym gęstymi kasztanami, zastąpionymi dziś przez arkady, dwa oddziały szwoleżerów na koniu, z muszkietami w rękę, stały w pogotowiu na pierwszy rozkaz i przy pierwszej obawie swego pana.

Kardynał, niesiony przez trzydziestu ośmiu pażiów, przybył do swej łoży, wybitej purpurą, nawprost tej, gdzie król leżał nawpół za zielonemi firankami, chroniącemi go od blasku pochodni. Cały dwór był zgromadzony w łożach i powstał z miejsc, kiedy się kardynał ukazał; muzyka rozpoczęła świetną uwerturę i otworzono parter dla wszystkich ludzi z miasta i wojskowych, jacy się zjawili. Trzy rozhukane fale widzów wpadły i zalały go w jednej chwili; widzowie

<sup>1)</sup> Król dał kardynałowi w 1626 r. gwardyę z dwustu strzelców; w 1632 r. czterystu muszkietierów pieszych; w 1638 r. dwie kompanie zbrojnych i szwoleżerów zostały przez niego utworzone.

<sup>2)</sup> Dał on królowi, z zastrzeżeniem dożywotniego użytkowania, ten pałac z przyległościami, jak również swoją wspaniałą kaplicę dyamentową, z wielkim srebrem stołowem, ważącym 3,000 grzywien i wielkim dyamentem w kształcie serca, ważącym przeszło 20 karatów; imci pan de Chavigny przyjął tę darowiznę dla króla.

(*Histoire du père Joseph.*)

ci stali w takim ścisku, że poruszenie jednego ramienia wystarczało, aby spowodować w całym tłumie kołysanie jakby zboża w polu. Widziano jednego człowieka, jak swą głową opisywał w ten sposób dosyć rozległe koło, niby cyrklem, chociaż jego nogi stały wciąż na jednym miejscu; kilku młodzieńców wyniesiono zemdłych.

Minister, wbrew swemu zwyczajowi, wychylił wychudłą głowę ze swojej łoży i powitał zgromadzenie miną, która chciała być wdzięczną.

Na grymas ten odpowiedziano tylko w łożach, parter milczał, Richelieu chciał pokazać, że nie lękał się sądu publicznego dla swego dzieła i pozwolił, aby wpuszczano bez wyboru ktokolwiek się zjawi. Zaczął tego żałować, lecz zapóźno. Wistocie, to bezstronne zgromadzenie było tak samo zimne, jak owa „tragedya pasterska;” daremnie pasterki, okryte drogiemi kamieniami, podwyższone na czerwonych obcasach, trzymając końcem palców długie laski, ozdobione wstążkami, i zawieszając girlandy z kwiatów na swoich sukniach, unoszonych przez „vertugadiny<sup>1)</sup> — umierały z miłości w długich tyradach po dwieście mdłych wierszy; napróżno „doskonali kochankowie” (gdyż to był piękny ideał tej epoki) ginęli dobrowolnie z głodu w samotnej jaskini i oplakiwali swoją śmierć z przesadą, przywiązując sobie do włosów wstążki o barwie ulubionej przez damę swego serca; napróżno damy dworu, zawieszane na krawędzi łoż, okazywały oznaki zachwytu i próbowały nawet mdleć w dowód najwyższego swego uznania: ponury parter nie okazywał innego znaku życia, oprócz kotysania czarnych, długowłosych głów.

<sup>1)</sup> Listewka wywatowana, jaką dawniej kobiety nosiły poniżej stanika, pod suknią.

Kardynał gryzł wargi i udawał roztargnionego podczas pierwszego i drugiego aktu; milczenie, przy którym przeszedł akt trzeci i czwarty, zadało taką ranę ojcowskiemu jego sercu, że kazał się podnieść nawpół i przechylił na zewnątrz swego balkonu i w tej niezgrabnej i śmiesznej postawie dawał znak swoim przyjaciółom dworu, aby zwracali uwagę na najpiękniejsze ustępy i pobudzał ich do oklasków; odpowiadano mu niemi z kilku łoż, lecz niewzruszony parter milczał jeszcze bardziej, niż przedtem, pozostawiając widowisko między sceną a wyższemi sferami, trwał uparcie w swojej neutralności. Pan Europy i Francji, rzucając ogniste spojrzenie na tę gromadkę ludzi, którzy śmieli nie podziwiać jego dzieła, uczył w sercu pragnienie Nerona i pomyślał przez chwilę, jak byłby szczęśliwy, gdyby tam była tylko jedna głowa.

Nagle ów czarny i nieruchomy tłum się ożywił i odezwały się długie, huczne oklaski ku wielkiemu zdziwieniu łoż, a zwłaszcza ministra. Przechylił się, klaskając z wdzięcznością; ale się zatrzymał, słysząc, że klaskanie rąk przerywało aktorom za każdym razem, gdy chcieli rozpocząć nanowo.

Król kazał odsunąć firanki swej łoży, dotąd spuszczone, aby zobaczyć, co wywoływało tyle zapamiętanie; cały dwór przechylił się po za kolumny; spostrzeżono wtedy w tłumie widzów, siedzących na widowni, skromnie ubranego młodzieńca, który dopiero co z trudnością znalazł sobie miejsce; wszystkie spojrzenia zwrócone były na niego. Zdawał się tem wielce zakłopotany i usiłował zasłonić się czarnym zbyt krótkim płaszczkiem.

— Cyd! — wołał parter, nie przestając bić oklasków. Corneille, przestraszony, schronił się za kulisy i wszystko zapadło znów w milczenie.

Kardynał, nie mogąc wytrzymać, polecił zapu-



ścić franki swojej łoży i kazał się nieść na galerye.

Tam to odbyła się inna scena, przygotowana od dawna staraniem Józefa, który w tym względzie wyuczył ludzi ze swego orszaku, przed opuszczeniem Paryża. Kardynał Mazarin, wołając, że można prędzej przenieść jego przewielebność przez długie okno szklane, wznoszące się tylko na dwie stopy nad ziemią i prowadzące z jego łoży na pokoje, kazał je otworzyć i przenieść pażym fotel. Natychmiast sto głosów się podniosło, aby przypomnieć i obwieścić spełnienie wielkiej przepowiedni Nostradamusa. Mówiono sobie półgłosem: *czerwona czapeczka*, to księżę kardynał; *czterdzieści uncy*, to Cinq-Mars<sup>1)</sup>; *tu skończy, to de Thou*; co za szczególne zrządzenie niebios! Jego przewielebność rządzi przyszłością, jak terazniejszością!

Posuwał się tedy na przenośnym swoim tronie po długich i jaśniejących galeryach, słuchając tego miłego szmeru nowego pochlebstwa; ale nieczuły na ten szum głosów, ubóstwiających jego geniusz, byłby oddał wszystkie ich słowa za jedno słowo, jeden gest tej nieruchomej i niewzruszonej publiczności, choćby nawet to słowo było krzykiem nienawiści, gdyż można stłumić wrzaski, lecz jak się mścić za mileczenie? Można nie pozwolić ludowi uderzyć, ale kto zabroni mu czekać?

Ścigany przez nieznośne widmo opinii publicznej, ponury minister czuł się bezpieczny dopiero w głębi swego pałacu, pośród drżącego i schlebiającego mu dworu, którego uwielbienia kazały mu wkrótce zapomnieć, że kilku ludzi ośmieliło się go nie po-

<sup>1)</sup> Cinq-Mars znaczą pięć grzywien, co się równa czterdziestu uncjom.

dziwiać. Kazał się umieścić jak król pośród obszer-nych swoich apartamentów i, rozglądając się dokoła, zaczął liczyć uważnie ludzi możnych a podległych, którzy go otaczali. Głowy wszystkich wielkich rodów, książe Kościoła, przewodniczący wszystkich parlamentów, gubernatorzy prowincyj, marszałkowie i głównodowodzący generałowie wojsk, nuncyusz, posłowie wszystkich królestw, posłannicy i senatorowie rzeczypospolitych, stali nieruchomi, ulegli i w rzędzie naokoło niego, jakby oczekując jego rozkazów. Ani jednego spojrzenia, coby śmiało oprzeć się jego spojrzeniu, ani jednego słowa, coby śmiało odezwać się bez jego woli, ani jednego zamiaru, któryby śmiano powziąć w najtajniejszej skrytości serca, ani jednej myśli, któraby nie pochodziła od niego.

Niema Europa słuchała go przez swych przedstawicieli. Od czasu do czasu podnosił rozkazujący głos i rzucał słowo zadowolenia pośród tego nadętego tłumu, jak jałmużnę pomiędzy rzeszę ubogich. Można było wtedy poznać z pychy, co się zapalała w jego spojrzeniach i z radości jego zachowania, na którego z książąt padła taka łaska; wybrany przemieniał się nagle w innego człowieka i zdawał się wznosić o jeden stopień wyżej w hierarchii władzy, tak otaczano niespodziewanemi uwielbieniami i pieszczotami tego szczęśliwego dworaka, gdy jego wątpliwej natury szczęścia kardynał nawet nie spostrzegał.

Brat króla i książę de Bouillon stali w tłumie, z kądem minister nie raczył ich wyciągnąć; powiedział tylko, że byłoby dobrze zburzyć mury kilku warowni, mówił długo o potrzebie bruków i chodników na ulicach Paryża i rzekł w dwóch słowach Turenniuszowi, że możnaby go wysłać do wojska włoskiego, do księcia Tomasza, aby przy jego boku dosłużył się<sup>2)</sup> łaski marszałkowskiej.<sup>3)</sup>

Podczas gdy Richelieu rozstrząsał tak w swoich

potężnych rękach największe i najmniejsze sprawy Europy, pośród hucznej uroczystości w swoim wspólnym pałacu, przypominano królowej w Luwrze, że nadeszła godzina, o której miała udać się do kardynała, gdzie król czekał na nią po odegraniu tragedji.

Poważna Anna Austryacka nie bywała na żadnym widowisku; lecz nie mogła odmówić wzięcia udziału w uroczystości pierwszego ministra. Znajdowała się w swojej modnicy, gotowa do odjazdu i okryta perłami, ulubionym swoim strojem; stojąc przed wielkiem zwierciadłem z Maryą Mantuańską, zajęta była wielce ukończeniem jej toalety; młoda księżniczka, ubrana w długą różową suknię, przyglądała się sama z uwagą, lecz trochę znudzona i z zagniewaną miną całości swego stroju.

Królowa przypatrywała się własnemu swemu dziełu w Maryi i bardziej zmieszana od niej, myślała z obawą o chwili, gdy zniknie ta przejmująca spokojność, pomimo głębokiej znajomości, jaką miała o czułym, lecz lekkim charakterze Maryi. Od czasu rozmowy w Saint Germain, od czasu nieszczęsnego listu, nie opuściła ani na chwilę młodej księżniczki, i poświęciła wszystkie swoje starania, aby zwrócić jej umysł na drogę wytkniętą przez siebie naprzód, gdyż najwydatniejszym rysem charakteru Anny Austryackiej był niezwykłony upór w jej obrachowaniach: chciała im podporządkować wszystkie wypadki i namiętności z jeometryczną dokładnością i zapewne temu pozytywnemu i nieruchomemu umysłowi należy przypisać wszystkie nieszczęścia jej rejeneyi.

Złowroga odpowiedź Cinq-Marsa, jego aresztowanie, jego osądzenie, wszystko zostało ukryte przed księżniczką Maryą.

Pierwszym jej błędem, to prawda, była miłość własna i chwila zapomnienia. Jednakże królo-

wa była dobra, i gorzko żałowała swego pośpiechu w napisaniu słów tak stanowczych; nie sądziła, że następstwa będą tak poważne, i wszystkie jej usiłowania dążyły do zmniejszenia ich skutków. Poglądając na swe działanie w swoich stosunkach do szczęścia Francyi, wieszowała sobie, że stłumiła tym sposobem nagle zarodek wojny domowej, któraby wstrząsnęła państwem aż do posad; ale gdy się zbliżała do młodej swojej przyjaciółki i wpatrywała w tę śliczną istotę, którą łamała w kwiecie życia, a której starzec na tronie nie wynagrodziłby poniesionej na zawsze straty; gdy myślała o całym poświęceniu, o tem zupełnym wyrzeczeniu się samego siebie przez dwudziestodwuletniego młodzieńca z tak wielkim charakterem i będącego prawie panem królestwa — żałowała Maryi i uwielbiała z głębi duszy tak źle przez siebie osądzonego człowieka.

Chciała przynajmniej dać poznać wszystko, czego był wart, tej, którą tak ukochał, a która nie wiedziała o tem; ale miała w tej chwili jeszcze nadzieję, że wszyscy spiskowcy, zebrani w Lyonie, zdołają go ocalić i że będzie mogła powiedzieć Maryi wszystko, wiedząc o nim, że już jest za granicą.

Co do jej drogiej przyjaciółki, ta lękała się zrazu wojny; lecz, otoczona ludźmi królowej, dopuszczającymi do niej tylko nowości podyktowane przez swoją panią, wiedziała lub domyślała się, że sprzysiężenie nie doszło do skutku; że król i kardynał wrócili na przód do Paryża prawie razem; że brat królewski, oddalony przez czas jakiś, ukazał się znów na dworze; że ksiązę de Bouillon, po odstąpieniu Sedanu, wrócił także do łaski, i że, jeśli wielki koniuszy nie zjawiał się jeszcze, powodem tego była wyraźniejsza nienawiść kardynała przeciwko niemu i wielkiemu jego udziałowi w spisku. Lecz prosty zdrowy rozum i wro-

dzone poczucie sprawiedliwości mówiło dosyć, że ponieważ działał tylko pod rozkazami brata króla, jego ułaskawienie powinno nastąpić po ułaskawieniu tego księcia. Wszystko więc uspokoiło pierwszy niepokój jej serca, gdy tymczasem nic nie złagodziło rodzaju dumnego uczucia, jakie miała dla zbyt obojętnego Cinq-Marsa, który nie dał jej znać o miejscu swego schronienia, nieznanem dla samej królowej i całego dworu, podczas gdy ona myślała tylko o nim, jak mówiła. Od dwóch miesięcy zresztą bale i karuzele następowały po sobie tak szybko i tyle nagłych obowiązków pociągnęło ją za sobą, że pozostawał jej zaledwie na smutki i żale czas jej toalety, gdy była prawie sama. Zaczynata tedy co wieczór od tego ogólnego rozmyślania o niewdzięczności i niestałości mężczyzn, myśli głębokiej i nowej, co nie przestaje nigdy zajmować główki młodej osoby w wieku pierwszej miłości; lecz sen nie pozwalał jej nigdy dokończyć tego rozmyślania, a zmęczenie po tańcu zamykało jej wielkie czarne oczy, zanim jej myśli zdążyły ułożyć się w pamięci i przedstawić jej całkiem jasny obraz przeszłości. Z chwilą obudzenia, widziała się otoczona młodemii księżniczkami dworu, a zaledwie była w stanie się ukazać, musiała iść do królowej, gdzie ją oczekiwały wieczne, ale mniej nieprzyjemne hołdy księcia wojewody; Polacy mieli czas nauczyć się na dworze francuskim owej tajemniczej powściągliwości i tego wymownego milczenia, które się tak podobają kobietom, bo zwiększają doniosłość ukrywanych zawsze tajemnic i wywyższają istoty dosyć poważane, ażeby nie ośmielić się nawet cierpieć w ich obecności.

Uważano Maryę jako zaręczoną królowi Władysławowi, i ona sama, trzeba to wyznać, tak się pogodziła z tą myślą, że tron Polski zajęty przez inną królową wydałby się dla niej rzeczą potworną; nie

oczekiwała chwili wstąpienia nań z upragnieniem, ale przyjmowała tymczasem składane sobie naprzód hołdy.

Tak tedy, nie przyznając tego sobie samej, przedsadzała wielce mniemane winy Cinq-Marsa, jakie królowa odkryła jej w Saint-Germain.

— Jesteś świeża, jak róże tego bukietu—rzekła królowa.—No, moje drogie dziecię, czy jesteś gotowa? Cóż to za nadąsana minka? Chodź, zapnę ci ten koleczyk... Czy nie lubisz tych topazów? Dam ci inną parę...

— Oh! nie, pani, myślę, że nie powinnabym się stroić, gdyż nikt nie wie lepiej od ciebie, jak jestem nieszczęśliwa. Ludzie są dla nas bardzo okrutni! Zastanawiam się jeszcze nad wszystkim, co mi powiedziałaś, i teraz mam na wszystko niezbite dowody. Tak, to wielka prawda, że on mnie nie kochał, gdyż w końcu, gdyby mnie kochał, wyrzekłby się naprzód zamachu, który sprawiał mi taką przykrość, jak mu to powiedziałam; przypominam sobie nawet, co ma już większe znaczenie—dodała z miną poważną a nawet uroczystą — że go nazwałam buntownikiem; tak, pani, buntownikiem, powiedziałam mu to u Świętego Eustachego. Ale widzę, że wasza królewska mość miała zupełną słusność: jestem bardzo nieszczęśliwa; miał on w sobie więcej ambicyi niż miłości.

Tu łza żalu wymknęła się z jej oczów i potoczyła szybko po policzku, jak perła po róży.

— Tak, to niezawodne... — mówiła dalej, zapinając swoje naramienniki — a najlepszym tego dowodem, że od dwóch miesięcy, jak wyrzekł się swego zamachu, ponieważ mi powiedziałaś, że kazałaś go ocalić, mógłby mi dać znać, gdzie się schronił. A ja tymczasem płakałam, błagałam waszą królewską mość, aby go wsparła całą swą potęgą; żebrałam o jedno słowo, aby się dowiedzieć, co on robi; myślałam tyl-

ko o nim i teraz jeszcze odrzucam codzienną tron Polski, bo chcę dowieść aż do końca, że jestem stała, że ty sama, pani, nie możesz mnie odwieść od mego przywiązania, prawdziwszego, niż jego, i że my jesteśmy więcej warte od mężczyzn; lecz przynajmniej sądzę, że mogę iść dziś wieczorem na tę uroczystość, gdyż to nie bal.

— Tak, tak, moje drogie dziecko, chodź prędko — odparła królowa, chcąc przerwać tę dziecinną mowę, która ją zasmucała, a której szczerych omyłek sama stała się powodem — chodź, zobaczysz zgodę, jaka panuje między książętami a kardynałem, do wiemy się może pomyślnych jakich nowin.

Pojechali.

Gdy dwie księżniczki weszły do długich galerij pałacu kardynalskiego, zostały przyjęte i powitane chłodno przez króla i ministra, którzy, otoczeni i naciskani przez tłum milczących dworzan, grali w szachy na małym i niskim stoliku. Wszystkie niewiasty, towarzyszące królowej, rozeszły się po komnatach, i wkrótce nader miła muzyka ozwała się w jednej z sal, jako akompaniament do tysiąca rozmów, wszczętych przy stolikach gry.

Koło królowej przeszli, kłaniając się, młodzieńcy i nowozaślubieni: szczęśliwy Chabot i piękna księżniczka de Rohan; zdawali się unikać tłumu i czekali na stronie chwili, aby mówić do siebie samych. Wszyscy przyjmowali ich z uśmiechem i patrzyli na nich z zazdrością; szczęście ich było widoczne na twarzy innych, jak na ich własnej.

Marya ścisła ich oczyma:

— Są jednak szczęśliwi — rzekła do królowej, przypominając sobie nagane, jaką chciano im udzielić.

Lecz, nie odpowiadając jej, Anna Austriacka, w obawie, aby w tłumie niebaczne jakie słowo nie

dało znać o jakim nieszczęsnym wypadku jej młodej przyjaciółce, umieściła się z nią za królem. Wkrótce brat królewski, książę wojewoda i książę de Bouillon przyszli porozmawiać z nią, z miną swobodną i krotofilną. Jednakże drugi, rzucając na Maryę surowe i badawcze spojrzenie, rzekł do niej:

— Piękność i wesołość księżnej pani są dzisiajszego wieczoru zadziwiające.

Na te słowa i widząc oddalającego się z ponurym wyrazem twarzy wojewodę, Marya oniemiała; po chwili dopiero zagadnęła księcia Orleańskiego, lecz nie odpowiedział i udawał, że nie słyszy. Spojrzała tedy na królowę i zauważyła jakby bladłość i niepokój na jej obliczu. Tymczasem nikt nie śmiał się zbliżyć do księcia-kardynała, obmyślającego wolno swoje posunięcia na szachownicy. Jeden Mazarin, oparty na poręczy jego fotelu i śledzący posunięcia ze służalczą uwagą, okazywał zachwyt za każdym razem, gdy zagrał kardynał. Uwaga, zdawało się, rozproszyła na chwilę okrywającą czoło ministra chmurę; posunął właśnie wieżę, stawiając króla Ludwika XIII w tem fałszywym położeniu, które nazywają *patem*, w położeniu, nie pozwalającym temu królowi hebanowemu, nie atakowanemu osobiście, ani się cofnąć, ani posunąć w żadnym kierunku. Kardynał, podniósłszy oczy, patrzył na swego przeciwnika i zaczął się uśmiechać z jednej tylko strony ust, nie mogąc wstrzymać się może od tajemniczego porównania. Potem, widząc gasnące oczy i konającą twarz monarchy, nachylił się do ucha Mazariniego i rzekł doń:

— Zdaje mi się, dalibóg, że się wyniesie przedemną; jest bardzo zmieniony.

W tej samej chwili porwał go długi i gwałtowny kaszel, często uczuwał w sobie ten ból dotkliwy i uparty; na to złowrogie ostrzeżenie przyłożył do ust chustkę, poczem odjął zakrwawioną, lecz aby to ukryć,

rzucił ją pod stół i uśmiechnął się, spoglądając surowo naokoło siebie, jakby zakazując się niepokoić.

Ludwik XIII najzupełniej obojętny nie uczynił najlżejszego poruszenia i ustawił swoje figury i pionki do drugiej partii wychudłą i drżącą ręką. Ci dwaj umierający zdawali się ciągnąć na los szczęścia ostatnią swoją godzinę.

Właśnie zegar na wieży wybił północ. Król podniósł głowę i rzekł chłodno:

— Ah! ah! dziś rano o tej samej godzinie imćpan le Grand, drogi nasz przyjaciel, przebył złą chwilę.

Przenikliwy krzyk dał się słyszeć tuż przy nim; król zadrżał i rzucił się w przeciwną stronę, przewracając szachy. Marya Mantuańska bez przytomności była w ramionach królowej, która płacząc gorzko, rzekła królowi do ucha.

— Ah! Najjaśniejszy Panie, masz siekiereę o dwóch ostrzach!

Poczem zajęła się troskliwie i prawdziwie po macierzyńsku młodą księżniczką, która otoczona przez wszystkie damy dworskie, wróciła nakoniec do przytomności, aby się zalać łzami, jak tylko otworzyła oczy:

— Niestety! tak, moje dziecię—rzekła do niej Anna Austryacka—moje biedne dziecię, jesteś królową Polski.

Zdarzało się często, że ten sam wypadek, co kazał przelewać łzy w pałacu królów, szerzył wesołość na dworze, bo ludowi zdaje się zawsze, że radość idzie w parze z uroczystością.

Przez pięć dni trwały zabawy z powodu powrotu ministra i co wieczór pod oknami pałacu kardynał-

skiego i Luwru cisnели się mieszkańcy Paryża; ostatnie zamieszki wywołały w nich, że tak powiemy, zamętowanie do ruchu publicznego, przebiegali z ulicy na ulicę z ciekawością niekiedy obelżywą i wrogą, bądź idąc w milezących procesjach, bądź wybuchając śmiechem lub krzykiem szyderczym, których nie rozumiano znaczenia. Bandy młodych ludzi biły się przy zbiegu ulic i tańczyły wkoło na placach publicznych, jakby dla ujawnienia jakiejś nieznanej nadziei przyjemności i jakiejś szalonej radości ściskającej serce. Godne było uwagi, że najsmutniejsze milczenie panowało właśnie w miejscach, przygotowanych z pogardą przed oświetlonym frontem jego pałacu. Jeśli podnosiły się jakie głosy, to w celu nieustannego czytania i odeztywanta z ironią legend i napisów, które mi idyotyczne pochlebstwo kilku smutnej sławy pisarzów otoczyło wizerunek księcia-kardynała. Jednego z tych portretów pilnowali strzelcy uzbrojeni w rusznice, lecz nie mogli go zasłonić przed kamieniami, rzucanemi zdaleka przez niewidzialne ręce. Wizerunek ten przedstawiał kardynała jako naczelnego wodza w hełmie, otoczonym wawrzynem. Czytano nad nim:

Wielki wodzu! we Francji słusznie cześć ci dają;  
W Paryżu tak jak bożka Marsa uwielbiają<sup>1)</sup>.

Te piękne rzeczy nie przekonywały ludu, że był szczęśliwy i w istocie nie uwielbiał więcej kardynała niż bożka Marsa, lecz przyjmował uroczystości z powodu rozprężenia. Cały Paryż był w poruszeniu ludzie z długą brodą, niosący pochodnie, garnki napełnione winem i kubki cynowe, któremi trącali z wiel.

<sup>1)</sup> Sztých ten jeszcze istnieje.

kim hałasem, trzymali się pod ramię i śpiewali jednogłośnie grubemi i ochryplemi głosami dawną piosenkę Ligi do tańca:

Już będzie tego dość,  
W tan puśćmy się weseli:  
Minęła zimy złość,  
Królowie przeminęli.

Zawiesić broń już czas,  
Po trudzie spocząć zdrowiej;  
Zmęczyli dosyć nas  
Królowie migdałowi.

Hej Janie z Mayny w płas,  
Królowie przeminęli <sup>1)</sup>.

Okropne bandy, wydające te wściekle okrzyki, przebyły wybrzeża i Nowy-Most, przygniatając do wysokich domów, które się tam wówczas znajdowały, kilkunastu spokojnych mieszczan, ściągniętych przez ciekawość. Dwaj młodzieńcy, owinięci w płaszcze, zostali rzućeni jeden na drugiego i poznali się przy blasku pochodni, zatkniętej u stóp nowo-wzniesionego posagu Henryka IV.

— Co! waćpan jeszcze w Paryżu? — rzekł Corneille do Miltona — myślałem, że jesteś w Londynie.

— Czy słyszysz ten lud mospanie? czy słyszysz? cóż to za straszna piosenka:

Królowie przeminęli?

— To jeszcze nie, mospanie; zwróć uwagę na ich rozmowy.

— Parlament umarł—mówił jeden z ludzi—pa-

<sup>1)</sup> Piosenka z czasów wojen domowych. (Patrz w *Pamiętnikach Ligi*).

nowie pomarli: tańczmy, my jesteśmy panami; stary kardynał odwała kitę, zostaje tylko król i my.

— Czy słyszysz tego nędznika, mospanie? — odparł Corneille — wszystko, cała nasza epoka mieści się w tem słowie.

Jakże to? jestże to dzieło tego ministra, którego nazywają *wielkim* pomiędzy wami, a nawet u innych narodów? Nie rozumiem tego człowieka.

— Wytłómaczę ci to niebawem — odpowiedział mu Corneille — ale przedtem posłuchaj końca tego listu, który dziś otrzymałem. Podejdźmy do tej latarni, pod posąg nieboszczyka króla... Jesteśmy sami, tłum przeszedł, słuchaj:

„Właśnie przez jedną z tych nieprzezorności, co przeszkadzają dokonaniu najszlachetniejszych przedsięwzięć, nie mogliśmy ocalić imépanów de Cinq-Mars i de Thou. Powinniśmy byli przewidzieć, że przygotowani na śmierć przez długie rozmyślenia, odmówią naszej pomocy; ale ta myśl nie przyszła żadnemu z nas do głowy, w pośpiechu przedsięwziętych kroków zrobiliśmy jeszcze błąd, żeśmy się zanadto rozproszyli w tłumie, co nam odjęło środek powzięcia szybkiego postanowienia. Byłem umieszczony na swoje nieszczęście blisko rusztowania i widziałem, jak zbliżali się do jego stóp nasi nieszczęśliwi przyjaciele, podtrzymując biednego księdza Quilleta, zmuszonego patrzeć na śmierć swego wychowanka, przy którego był urodzinach. Podeszliśmy wszyscy gotowi rzucić się na strażę na znak umówiony, lecz ujrzałem z boleścią jak imépan de Cinq-Mars rzucił swój kapeluszek daleko od siebie z wyrazem pogardy. Zauważono nasz ruch i straż katalońska została podwojona wkoło rusztowania. Nie mogłem już widzieć, ale słyszałem jak płakano. Po trzech zwykłych odgłosach trąb, lyoński pisarz kryminalny, siedzący na koniu dosyć

blizko rusztowania, odczytał wyrok śmierci, którego ani jeden ani drugi nie słuchał. Biedny ksiądz Quillet kłął i miał zaledwie siłę całować ręce dwóch przyjaciół. Imépan de Thou rzekł do imépana de Cinq-Mars:

— „I cóż! drogi przyjacielu, kto umrze pierwszy? Czy przypominasz sobie o św. Gerwazym i o św. Protazym?”

— To będzie ten, kogo sam wybierzesz—odparł Cinq-Mars.

„Drugi spowiednik, zabierając głos, rzekł do imépana de Thou: — Jesteś starszy.

— „To prawda — odrzekł imépan de Thou, a zwracając się do imépana le Grand, powiedział: — Tyś szlachetniejszy, ty więc wskażesz mi drogę chwały Niebios?”

— „Niestety! — rzekł Cinq-Mars — ja otworzyłem ci drogę do przepaści; lecz śpieszmy na śmierć odważnie, a powstaniemy w chwale i w szczęściu Niebios.

„Poczem uściskał go i wszedł na rusztowanie ze zręcznością i lekkością zadziwiającą. Przeszedł wkoło na rusztowaniu i przypatrywał się całemu temu wielkiemu zgromadzeniu, ze śmiałem obliczem i nie okazującym żadnej trwogi i z postawą poważną i wdzięczną, potem przeszedł wkoło po raz wtóry, witając lud na wsze strony, bez okazywania, że poznaje kogokolwiek z nas, lecz z obliczem majestatycznym i nadzwyczaj miłym, potem ukląkł, wznosząc oczy do nieba, wielbiąc Boga i polecając mu swój koniec: gdy całował krucyfiks, ojciec duchowny zawołał do ludu, aby modlił się do Boga za nim, a imépan le Grand, otwierając ramiona, składając ręce, trzymając ciągle swój krucyfiks, zwrócił się z tą samą prośbą do ludu. Potem upadł dobrowolnie na kolana przed pieńkiem, objął słup, położył szyję na

pieńku, wznosił oczy do nieba i zapytał spowiednika:

— „Mój ojcze, czy tak będzie dobrze?”

„Następnie, podczas gdy ucinano jego włosy, podniósł oczy ku niebu i rzekł z westchnieniem:

— „Mój Boże! czemże jest ten świat? mój Boże ofiaruję ci moją mękę jako zadosyć uczynienie za moje grzechy.

— „Na co czekasz? co robisz? — rzekł dalej do kata, który stał opodal i nie wyciągnął jeszcze swego topora z przyniesionego nędznego worka.

„Spowiednik Cinq-Marsa, zbliżywszy się do niego, dał mu medalik, on zaś z niepojętym spokojem umysłu, prosił ojca duchownego, aby trzymał krucyfiks przed jego oczyma, których nie chciał dać sobie przewiązać. Spostrzegłem dwie drżące ręce starego Quilleta, podnoszącego w górę krucyfiks. W tejsze chwili głos jasny i czysty, jak głos anioła, zaśpiewał: *Ave maris stella*. W milczeniu powszechnem poznałem głos imépana de Thou, czekającego u stóp rusztowania; lud powtarzał pieśń świętą. Imépan de Cinq-Mars objął słup jeszcze silniej i zobaczyłem, jak podnosił się topór, zrobiony na kształt toporów angielskich. Straszliwy krzyk ludu, powstały na placu, w oknach i wieżach, oznajmił mi, że topór spadł, a głowa potoczyła się na ziemię; miałem jeszcze siłę, na szczęście, pomyśleć o jego duszy i zacząć modlitwę za niego; połączyłem ją z modlitwą, odmawianą na głos przez naszego nieszczęsnego i pobożnego przyjaciela de Thou. Podniosłem się i zobaczyłem go, jak puścił się na rusztowanie z taką szybkością, że można było powiedzieć, iż fruwał. Ojciec duchowny i on odmawiali psalmy, odmawiali je z żarliwością serafina, jakby jego dusza uniosła jego ciało do nieba; potem, klękając, pocałował krew Cinq-Marsa, niby krew męczennika i został sam większym męczennikiem. Nie wiem, czy Bóg chciał mu udzielić tej ła-

ski, lecz ujrzałem ze zgrozą, jak kat, przerażony bez wątpienia pierwszym zadany ciosem, uderzył go w górną część głowy, gdzie nieszczęsny młodzieniec trzymał rękę; lud wydał przeciągły jęk i zbliżył się do kata: ten nędznik, ogromnie pomieszany, zadał mu drugi cios, który tylko zdarł z niego skórę i powalił go na rusztowanie, gdzie kat rzucił się na niego, aby go dobić. Dziwny wypadek przeraził lud nie mniej od tego straszego widowiska. Stary służący imópana de Cinq-Marsa, trzymając jego konia jak w orszaku pogrzebowym, zatrzymał się u stóp rusztowania i podobny do człowieka sparaliżowanego, patrzył na swego pana aż do końca, poczem nagle, jakby uderzony tym samym toporem, padł martwy pod ciosem, pod którym spadła głowa.

„Piszę ci na prędce o tych smutnych szczegółach na pokładzie galery genueńskiej, gdzie schronili się: Fontrailles, Gondi, du Lude, d'Entraignes, Beauvau, ja i wszyscy sprzysiężeni. Jedziemy do Anglii czekać, aż czas uwolni Francję od tyrańca, którego nie mogliśmy obalić. Porzucam na zawsze służbę u nikczemnego księcia, który nas zdradził.

*Montrésor.*”

— Taki był oto—mówił dalej Corneille—koniec tych dwóch młodzieńców, chociaż widziałeś niedawno taką ich potęgę. Ostatnie ich technienie było ostatniem technieniem starodawnej monarchii; odtąd może panować tutaj tylko jeden dwór. Magnaci i Senat—zdruzgotani. <sup>1)</sup>

— I to więc ów mniemany wielki człowiek! — odpowiedział Milton. Cóż on chciał zrobić? Chce zatem stworzyć rzeczypospolitą w przyszłości, gdyż burzy podstawy waszej monarchii?

— Nie szukaj go tak daleko—rzekł Corneille—choć on tylko panować do końca swego życia. Pracował dla chwili, a nie dla przyszłości, prowadził dalej dzieło Ludwika XI i ani jeden ani drugi nie wiedzieli, co robili.

Anglik zaczął się śmiać.

— Sądziłem — rzekł — sądziłem, że prawdziwy geniusz postępuje inaczej. Ten człowiek zachwiał to, co winien był podtrzymać, a jednak go podziwiają! Żałuję twego narodu!

— Nie żałuj go! — zawołał Corneille żywo — człowiek przemija, lecz naród się odnawia. Ten, mospanie, jest obdarzony nieśmiertelną energią, której nie może stłumić: często jego wobraźnia wprowadzi go z drogi, lecz wyższy rozum zapanuje w końcu zawsze nad jego rozprężeniem.

Dwaj młodzi a już wielcy ludzie przechadzali się, rozmawiając w ten sposób na tym placu, co odziedziczył król Henryk IV od placu Delfina, gdzie zatrzymali się na chwilę.

— Tak, mospanie—ciągnął Corneille—widzę co wieczór z jaką szybkością myśl szlachetna rozlega się w sercach francuskich i co wieczór udaje się na spoczynek, szczęśliwy, że ją widziałem. Wdzięczność każe bić czołem ubogim przed tym posągiem dobrego króla; kto wie, jaki inny pomnik wzniesie inna namiętność obok tego? kto wie, dokąd miłość sławy zaprowadzi nasz naród? kto wie, czy na tem samem miejscu, gdzie jesteśmy, nie stanie piramida, wyrwana z łona Wschodu?

— To są tajemnice przyszłości—rzekł Milton—uwielbiam jak ty twój naród namiętny, lecz obawiam się o niego samego, źle go też rozumiem i nie poznaję jego umysłu, gdy widzę, jak okazuje swoje uwielbienie dla ludzi takich, jak ten, co rządzi wami. Miłość władzy jest bardzo dziecinna, a ten człowiek jest po-

<sup>1)</sup> Nazywano parlament *senatem*.



żerany przez nią, nie mając siły, aby ją opanować zupełnie. Rzecz śmieszna! on jest tyranem, a ma nad sobą pana! Ten olbrzym, zawsze bez równowagi, o mało co nie został obalony palcem prawie dziecka. Jestże to geniusz? Nie! nie! Kiedy raczy zstępować ze swych wyżyn dla namiętności ludzkiej, powinien przynajmniej nią ować. Penieważ ten Richelieu pożałował tylko władzy, dlaczegoż nie zagarnął jej od szczytu, zamiast pożyczać jej od słabej głowy królewskiej, co się waha i chwieje? Pójdę do człowieka, co jeszcze nie wystąpił, a jest, widzę, owładnięty przez tę nędzną żądzę panowania, ale zdaje mi się, że ten pójdzie dalej. Nazywa się Cromwell.

K O N I E C.



65480 / 3  
66728

## OD REDAKCYI.

*Panu Zonim. w W.* Dwa listy otrzymaliśmy, lecz odpisać nie mogliśmy nie znając pańskiego adresu, uprzejmie prosimy za jść do Redakcyi w godzinach pomiędzy 10—12 przed południem, a damy odpowiedź.

*Panu A. E. w Lublinie.* Rzecz ta nie nadaje się do druku w „Bibliotece“.

*P. A. Mich. w Bikiew.* Wkrótce rozpoczniemy druk żądanych powieści.

*Prenum. z nad Horynia.* Za granicą mogą, gdyż nie płacą prawa przedruku, my zaś musielibyśmy zapłacić za każde dzieło 20 do 30,000 rubli.

*P. A. Z. w Kijowie.* Drugi tom „Hist. Lit. P.“ wyjdzie w końcu czerwca.

*Czarnej Nidzie.* Zmiany, jak również dzieła omawiane przez Szanow. Panią w niedługim czasie będą drukowane w „Bibliotece“.

## SPROSTOWANIE.

W tomie I, rozdz. I, str. 5, zamiast mylnie wydrukowanego tytułu „Podziękowanie“ powinno być „Pożegnanie“.